



S.O.S. dla lasów

Foto. M. Zajdler

Łódź tygodnik społeczno-kulturalny Odgłosy

NUMER 23 (1276) ROK XXV

10 WRZEŚNIA 1982 ROKU

CENA 20 ZŁ

Ostatni Dalaj Lama

Tybet

HENRYK SROCZYŃSKI

- Polskie lato 80
Karol J. Stryjski
- Zesłaniec, żołnierz,
dyplomata
- Wspomnienia
Adama Ochockiego
- W kręgu fantastyki
- Wielki festiwal rockowy
w Norymberdze
- O złomie, szmatach
i makulaturze
Dariusz Dorożyński

kolumna **ajencyjna**

KRYSTYNA NAMYSŁOWSKA

Muzeum Artystyczno – Przemysłowe lub odwrotnie

26 lutego otwarto w Helsinkach wystawę, przygotowaną przez Centralne Muzeum Włókiennictwa. Źródła dobrze poinformowane doniosły, iż 600 osób wzięło udział w tej skromnej, lecz niepośledniej uroczystości, o czym świadczył udział osobistości szczebla rządowego. Oczywiście było w tym sporo zainteresowania nie tyle samą wystawą, co politycznym kontekstem, w jakim nastąpiło jej otwarcie, ale to nie wyczerpuje sprawy. Istota rzeczy tkwi w tym, że Centralne Muzeum Włókiennictwa liczy się w świecie, zaś ze skandynawskim środowiskiem plastycznym związki poprzez międzynarodowe triennale tkaniny unikatowej są silne szczególnie.

Nie o tej jednak wystawie zamierzam pisać, ani też sumować tu osiągnięć wyjątkowej, bo praktycznie jedynej tego typu placówki muzealnej. Drugą, podobną, dopiero organizuje się badając w Holandii, a CMW ma jej służyć radą i do-

świadczeniem. Niecodzienną instytucją mającej swoją siedzibę w Łodzi, wynika z przyjętej formuły, iż jest to muzeum włókiennictwa i w sferze zainteresowania znajduje się tu pełny cykl produkcyjny, od surowca do gotowego, a nawet przetworzonego — jak chociażby odzież — wyrobu.

Obecny dyrektor muzeum — NORBERT ZAWISZA — jest zdania, że po okresie intensywnego gromadzenia zbiorów, uruchamiania rozlicznych, często bardzo znaczących inicjatyw (choćby właśnie „trieniale”), przyszła pora na modyfikację w strukturze organizacyjnej. Tradycyjny, wykształcony w innych placówkach muzealnych, schemat kolekcjonowania zbiorów tkackich, tutaj nie wystarcza. Zmiany idą więc w kierunku podporządkowania układu działów kolejnym stadiom procesu wytwórczego, a nie jak dotychczas — rodzajom gotowe-



Najbardziej izolowanym krajem od świata zewnętrznego jest Tybet, dziś Autonomiczny Okręg Tybetu w ChRL. Ten olbrzymi obszar znajdujący się na wysokości 4 tys. metrów w Himalajach, zawsze był zamknięty: w teokratycznym państwie lamów broniło „kontemplacyjnego spokoju”, zaś w państwie Mao Tse-tunga, które postanowiło dokonać tu szybkiej sinizacji, ciekawość obcych szczególnie źle była widziana. Również w ostatnich latach, mimo iż Pekin nieco uchylił drzwi do tego śnieżnego kraju, jest niezwykle trudno uzyskać zezwolenie na odwiedzenie Lhasy.

Tybet jako państwo faktycznie nie figuruje na żadnej mapie politycznej. Ani jeden też kraj w świecie nie uznaje emigracyjnego rządu tybetańskiego, który działa w Dharamsali na północy Indii. Ale o kwestii tego narodu, o jego sytuacji i stosunkach chińsko-tybetańskich wciąż wiele się pisze. Sprawa to nie-zwykła historia kraju lamów, spór jaki się toczy między emigracją tybetańską a Pekinem na tle sinizacji regionu, a także — co tu ukrywać — fascynująca egzotyka tego zaścianka świata. Było rzeczka niespotykana w chińskiej praktyce, gdy dwa lata temu, po dokonaniu inspekcji Tybetu, przewodniczący KC

KPCh — Hu Jao-pang oświadczył publicznie, że stosunki chińsko-tybetańskie charakteryzowały się wielkimi błędami i że „cierpienia Tybetańczyków rzeczywiście stały się nadmierne”. W gazetach pekińskich, przekładając to na język praktyki, pisano, że Tybet został zalany przez „chińską falę”, że lekceważono bądź tepiono tamtejsze zwyczaje, religię i tradycje. Szowinistyczna polityka Pekinu wobec tybetańskiej mniejszości narodowej w okresie rewolucji kulturalnej, została też potępiona w okólniku KC wydanym w maju 1980 roku; przyznawano w nim, że rewolucja kulturalna spowodowała takie szkody w Tybecie, iż trzeba sześciu lat, aby został osiągnięty poziom życia sprzed tamtego okresu.

Ten gest uczyniony przez Chiny jest nie tylko adresowany do Tybetańczyków, ale i do innych mniejszości. Pekin, któremu barwy polityczne nadaje Ten Siao-ping, i którego nieukrywany marzeniem jest przyłączenie do macierzy Tajwanu, widzi w perspektywie „wielką jedność” Chin. Pierwszym krokiem do zaakceptowania przez tybetańską emigrację chińskiej władzy w Lhasie byłaby wizyta, a jeszcze lepiej — powrót Dalaj Lamy XIV do

Człowiek i epoka

1 września 1939 roku zastał Władysława Gomułka w sieradzkim więzieniu. Jak wielu polskich komunistów, gdy tylko wyszedł z więzienia, gdy mu się to udało, poszedł walczyć w obronie zagrożonej niepodległości Polski. Bronił stolicy — Warszawy. Po klęsce wrócił w strony rodzinne — na Podkarpacie, w okolicie Krosna, gdzie się urodził i wychował. W 43 lata później, jako 77-letni schorowany człowiek, odszedł na zawsze.

Do partii komunistycznej wstąpił w 1926 roku już jako działacz związkowy. W 4 lata później był sekretarzem ZG Związku Zawodowego Robotników Przemysłu Chemicznego i w tym czasie zaczął też pracować w Centralnym Wydziale Zawodowym KC PPR. Pierwszy raz aresztowany został w Łodzi w 1932 roku i odsiedział 4-letni wyrok. Później studiował w międzynarodowej szkole leninowskiej w Moskwie. Po powrocie do kraju ponownie aresztowany i osadzony na 7 lat więzienia. Wyszł z niego po trzech latach, aby bronić zagrożoną śmiertelnie ojczyznę.

Wole walki o Polskę nie przekreśliła jej klęska, podjął ją już w PPR najpierw w rodzinnym Podkarpaciu, a następnie — po wezwaniu w lipcu 1942 roku przez Marcelę Nowotkę — w Warszawie. Stał się członkiem władz centralnych PPR, współtwórcą jej programu, konstruktorem polityki frontu patriotycznego, antyfaszystowskiego, z którego powodzeniem wzięło powodzenie walki całego narodu z okupantem. Był iniciejatorem i uczestnikiem próby porozumienia z Armią Krajową w celu wspólnej walki z wrogiem. Brał udział w spotkaniach, jakie miały miejsce w Warszawie w lutym 1943 roku, a które nie doprowadziły do współdziałania. W listopadzie 1943 roku został sekretarzem KC PPR.

Jako współautor „Deklaracji programowej PPR — O co walczymy?” przyczynił się do wyraźnego zarysowania programu partii komunistycznej nowego typu, jak też obrazu przyszłej Polski. „Ster władzy państwowej w przyszłej Polsce — czytamy w Deklaracji — przejdzie w ręce przedstawicieli najszerszych warstw narodu, reprezentujących interesy robotników, chłopów i inteligencji.”

Walczyl o Polskę, która byłaby ojczyzną ludzi pracy, pogodzoną z sąsiadami, sprawiedliwą i demokratyczną. W tej demokratycznej Polsce, pod kierunkiem partii robotniczej miał dokonać się proces przeobrażenia rewolucyjnego.

„W ramach państwa demokratycznego klasa robotnicza i masowy pracujący — czytamy w Deklaracji — dążyć będą do przejścia do ustroju socjalistycznego, by raz na zawsze położyć kres wyzyskowi człowieka przez człowieka i przeciąć źródła wojen imperialistycznych, by stworzyć nową erę w życiu narodu — erę wolności i dobrobytu.”

Ideę tę rozwijał później, już w okresie I Zjazdu PPR, a więc w grudniu 1945 roku, kiedy ludzie partii ginęli jeszcze od kul reakcyjnego podziemia, kiedy toczyła się walka o władzę, o klasowy charakter odródnionej Polski. W referacie na I Zjeździe PPR mówił między innymi:

„W warunkach demokracji ludowej, przy umacnianiu władzy politycznej i aparatu państwowego przez elementy konsekwentnie demokratyczne, przy rozwoju produkcji unarodowionej, jest całkowicie możliwa droga ewolucyjnego przemian społecznych i ewolucyjnego przechodzenia do ustroju socjalistycznego. Demokracja ludowa przesłabiła w sposób pokojowy w demokrację socjalistyczną.”

Ideę tę nie wszyscy zrozumieli. Zwyciężała koncepcja zaostrażającej się walki klasowej w miarę umacniania się procesu przemian społecznych i gospodarczych, w miarę przebudowy społeczeństwa w kierunku socjalizmu. Nie rozumiano jego koncepcji politycznych i społecznych, budowanych na rzetelnej, dialektycznej analizie struktury społecznej, układu sił politycznych, rozumienia roli tradycji w procesie przeobrażenia rewolucyjnego. Ciwarunkowania zewnętrzne, narastanie „zimnej wojny”, nie sprzyjało realizacji takich programów. Potrzebne były działania zdecydowane, choćby były wbrew rzeczywistości i wbrew tendencjom znamionującym dokonujące się procesy społeczne. Władysław Gomułka oskarżony o „odchylenie prawicowo-nacjonalistyczne” odszedł z władz partyjnych, a następnie wydalony z partii został osadzony w więzieniu. Ale nawet i wówczas — jak to napisał Stanisław Trepczyński w „Życiu Warszawy” na podstawie zwierzeń Gomułka — „czuł się nadal członkiem partii”.

Powrócił do partii w latach kryzysu — w październiku 1956 roku. Krytycznie odniósł się do poprzedniej linii partii, wykazał jej błędy i niewłaściwości, przypominając, że partia tylko wówczas może spełniać swoją kierowniczą rolę, jeśli jej działacze i aktywiści są na co dzień z robotnikami przy ich warsztatach pracy. Mówił wówczas:

„Droga demokracji jest jedyną drogą prowadzącą do zbudowania najlepszego w naszych warunkach modelu socjalizmu. Z tej drogi nie zejdziemy i będziemy jej bronić wszystkimi siłami, aby nie dać się z niej zepchnąć. Ale też nie pozwolimy nikomu wykorzystać procesu demokratyzacji przeciw socjalizmowi. Na czele procesu demokratyzacji staje nasza partia i tylko ona, działając w porozumieniu z innymi partiami Frontu Narodowego, może pokierować tym procesem w takim kierunku, aby proces ten prowadził rzeczywiście do demokratyzowania stosunków we wszystkich dziedzinach naszego życia, do wzmocnienia podstaw naszego ustroju, a nie do ich osłabienia.”

Przestał być I sekretarzem w grudniu 1970 roku. Jest to nie tylko tragedia Polski, klasy robotniczej, wszystkich ludzi pracy, ale i Jego osobiste. Skromny w życiu prywatnym, szczerzy i uczciwy, całe swoje życie poświęcił klasie robotniczej, jej historycznym aspiracjom, jej historycznej roli. I odszedł w konflikcie z tą klasą. Dlaczego tak się stało?

Dziś nie potrafimy jeszcze odpowiedzieć na to pytanie. Odpowiedzieć całkowicie i do końca. Potrzeba czasu, znajomości wszystkich elementów i przyczyn, jakie złożyły się na tę tragedię. Ostatnio zresztą wiele pisało się o Władysławie Gomułce, analizując jego myśli, postępowanie, decyzje, politykę, jaką prowadził w latach 1943—1948 i w latach 1956 — 1970. Zadając liczne pytania. Dlaczego nie dostrzegł, że dyktatura proletariatu zamienia się w dyktaturę biurokracji? Dlaczego nie dostrzegł, że polityka partii rozmiąta się z oczekiwaniami ludzi pracy? Gdzie tkwiły przyczyny błędów jego polityki?

Laciński przystawie głosi, że „de mortuis aut bene aut nihil” — o zmarłych albo dobrze, albo wcale, ale nie dotyczy ono ludzi żyjących, mężów stanu, polityków, postaci historycznych. Dziś, kiedy żyjemy w dobie kryzysu, który ogarnął nie tylko życie gospodarcze i społeczne, ale i politykę, coraz częściej wracamy do przeszłości, do poczyną ludzi wybitnych, niekwestionowanych, choć kontrowersyjnych przywódców, do ich myśli i czynów, jakby szukając wzorów do naśladowania. Dlatego coraz częściej będziemy wracać do myśli i czynów Władysława Gomułka, bo choć — jak każdy człowiek — popełniał błędy, to kreślił podwaliny polityki porozumienia narodowego, porozumienia i współpracy wszystkich sił najpierw antyfaszystowskich, później demokratycznych i postępowych, w sojuszu z którymi partia może i powinna realizować swój program odpowiadający narodowym oczekiwaniom.

Władysław Gomułka był nie tylko działaczem partyjnym wysoko uznanym na międzynarodowym forum, był też politykiem państwowym, administratorem. Zaczął swoją szeroką działalność w okresie okupacji, kiedy trzeba było szukać sojuszników w walce z faszystami i to nie tylko w kraju. Zrozumiał, że Polska nie może być osamotniona, że musi żyć w zgodzie z sąsiadami, że przyszłość Polski wiąże się nierozdzielnie z sojuszem ze Związkiem Radzieckim i zawsze był gorącym zwolennikiem i obrońcą tego sojuszu opartego na wzajemnym partnerskim poszanowaniu. Uważał, że takie same stosunki powinny łączyć nas z drugim sąsiadem — Czechosłowacją. A już po wojnie, po 1956 roku, zaczął uparcie i konsekwentnie dążyć do znormalizowania stosunków z NRF, co wiązało się z uznaniem naszych zachodnich granic na Odrze i Nysie. Jest paradoksem, że w chwili, kiedy osiągnął zwycięstwo w normalizacji stosunków z RFN, musiał odejść z funkcji I sekretarza KC PPR na skutek konfliktu z klasą robotniczą.

Nie przestał interesować się życiem kraju, tym, co dzieje się w partii. Pisał wspomnienia, szukał materiałów w archiwach, ale też pisał o tym, co go nurtowało współcześnie, kreślił krytyczne uwagi odnośnie polityki gospodarczej, występował z listami i swoimi uwagami w wielu sprawach politycznych, historycznych. Wkrótce w kwartalniku „Z Pola Walki” mają się ukazać te materiały, mające już dziś wielkie znaczenie historyczne, ale i tylko historyczne. Wówczas, gdy były aktualne, ukazały się nie mogły. Zasłona milczenia wokół Władysława Gomułka, jaką zastosowano przed laty, powoduje dziś tym większe zainteresowanie jego działalnością, jego myślami i poglądami. Należy już — historii — tej najżywej, najtrudniejszej, ale wciąż nas obchodzącej, naszej historii najnowszej. Dla wielu jednak pozostał nie postacią ciągle żywą, postacią naszej najbliższej przeszłości, naszych serdecznych choć niełatwych wspomnień.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Fiasco politycznego awanturnictwa

Prasa z wtorku 31 sierpnia przyniosła komunikat PAP przypominający rygory stanu wojennego, których naruszenie ściga jest z całą surowością. „W szczególności obowiązuje zakaz zwalniać i odbywania zgromadzeń a także manifestacji i protestacyjnych” — przypominał komunikat. „Trybuna Ludu” na pierwszej stronie zacytowała główne tezy przemówienia gen. Jaruzelskiego z 21 lipca. Zakończyła zdaniem: „Dzisiaj jednak niech zespoli nas życzenie, aby w Polsce — ojczyźnie naszej — zapanowała trwała spójność, aby tętniła praca, nadeszły dobre dni”. Komentarz redakcyjny „TL” nosił tytuł: Nie ma odwrotu od naprawy Rzeczypospolitej.

Przypomnijmy — w poprzednich dniach trwała nasilona akcja ulotkowa nawołująca do tzw. „pokojowych” demonstracji z okazji drugiej rocznicy podpisania porozumień w Gdańsku i Szczecinie. Akcja, której na wypródkę kibicowały (czy tylko?) wszystkie dywersyjne rozgłosie radio-owe. Przypomnijmy — poważne ostrzeżenia przed awanturnictwem politycznym zawierało przemówienie W. Jaruzelskiego na promocji oficerskiej w Poznaniu, przemówienie telewizyjne ministra Spraw Wewnętrznych, a jeszcze wcześniej wywiad wicepremiera Rakowskiego dla „Życia Warszawy”, przedrukowywany w całej chyba prasie.

W południe, ok. godz. 14 — 15 było już jasne, że reakcyjne podziemie poniosło całkowitą klęskę na najważniejszym froncie: wszystkie zakłady w Polsce pracowały, nie było strajków ani przerw w pracy, zarówno na pierwszej jak i drugiej zmianie. Nawet akcja ulotkowa miała w zakładach ograniczony zakres.

Spółczesność — klasa robotnicza i wszyscy ludzie pracy, bez względu na przekonania i sympatie polityczne zachowali spokój i rozsądek, godność i zaufanie do władz.

Podziemia opozycja nie może liczyć na zakłady i ich załogi — pozostaje część zemojonowanej młodzieży, margines społeczny, wąskie środowisko „nawiedzonych”, zwichrowanych politycznie i moralnie. Jest jeszcze szansa na podbiechanie tłumy, na zaktywizowanie obojętnych gapiów.

W Warszawie i kilku innych miastach na miejscach, dawno już wyznaczonych przez organizatorów, zbierają się kilkusetosobowe grupy. Frazes o pokojowym charakterze demonstracji jest nie do utrzymania — grupki awanturników zachowują się prowokacyjnie i agresywnie w stosunku do sił porządkowych. Usiłują okrzykami „Chodźcie z nami!” przyciągnąć przechodniów i gapiów. W godzinach szczytu komunikacyjnego mnożą się akty wandalizmu — podpalanie samochodów (nie tylko milicyjnych) próby podpalania budynków, zatrzymywanie miejscowych tramwajów i autobusów połączonych z aktami bestialskiego pobicia kierowców. Tłum zatrzymuje wozy strażackie a nawet karetę pogotowia.

Służby porządkowe, po wstępnych, zupełnie ignorowanych wezwaniach do spokoju, zmuszone są do akcji. Rozpraszanie grupek awanturników w niektórych miastach trwa do późnych godzin wieczornych. MO używa gazów łzawiących. W Lublinie dochodzi do tragedii — milicjanci zmuszeni są w obronie własnej do użycia broni. Są dwie ofiary śmiertelne. W Lublinie próba zamieszek powtarza się jeszcze następnego dnia.

Smutny bilans wydarzeń obejmuje dwie wymienione ofiary śmiertelne, kilkudziesięciu rannych milicjantów, strażaków, kierowców komunikacji publicznej. W każdym mieście, gdzie doszło do rozruchów kilkaset osób staje przed sądem lub kolegiami orzekającymi. Straty materialne bardzo poważne.

OCENY I KOMENTARZE

W środę, 1 września obraduje Wojskowa Rada Ocalenia

Narodowego. WRON kieruje słowami szacunku i uznania dla klasy robotniczej i ogromnej większości społeczeństwa, które w spokoju, skupieniu i pracy dało wyraz głębokiego zrozumienia istoty oraz wniosków płynących z wydarzeń sierpniowych. Powagę drugiej rocznicy tych wydarzeń zakłóciły w szeregu miast Polski, mimo liczących apeli i ostrzeżeń, nieodpowiedzialne zajścia i wybryki.

Mimo totalnych przygotowań organizacyjnych i propagandowych ze strony antysocjalistycznej opozycji miały one ograniczony terytorialnie i środowiskowo zasięg. Jednakże zlekceważyć ich nie wolno.

Wojskowa Rada Ocalenia Narodowego sformułowała zalecenia dla wojewódzkich komitetów obrony, organów ścigania i wymiaru sprawiedliwości, naczelnym organów administracji państwowej. Zwraca uwagę pkt. 3:

Wojskowa Rada Ocalenia Narodowego zwraca się do Prokuratury Generalnej PRL oraz ministra Spraw Wewnętrznych o podjęcie kroków zmierzających do szybkiego zakończenia śledztwa prowadzonego przeciwko przywódcom KSS KOR i postawienie ich w stan oskarżenia za popełnione przestępstwa na szkodę państwa i społeczeństwa.

W czwartek 2 bm. obradowało Biuro Polityczne KC Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Tematem obrad była m. in. ocena aktualnej sytuacji społeczno-politycznej kraju. W komunikacie czytamy m. in.:

„Biuro Polityczne potępia te nieodpowiedzialne, prowadzące do niebezpiecznego starcia działania. Wyraża jednocześnie głębokie ubolewanie, że w czasie zajść doszło do ofiar. (...) Biuro Polityczne wyraża uznanie wszystkim tym, którzy wykazując pełne poczucie odpowiedzialności i zrozumienia powagi sytuacji nie dali posłuchu awanturniczemu hasłom, odcieśli się od uczestnictwa w zajściach. (...) Biuro Polityczne wyraża uznanie funkcjonariuszom MO, SB, ORMO, za stanowcze, zapobiegające dalszym prowokacjom, a jednocześnie powściągliwe, przywracające spokój działania.”

Tego samego dnia Egzekutywa Komitetu Warszawskiego PZPR zajęła stanowisko wobec wydarzeń z 31 sierpnia w stolicy Egzekutywa stwierdza: „Przebieg wtorkowych wydarzeń ukazał słabość awanturniczego podziemia. Nie zostało ono poparte przez ludzi pracy, co ostrzeżenie oceniających poczynania wszystkich, którzy chcą pogłębić nasze trudności, zatrzymać proces odnowy gospodarki, po to, aby pod hasłem „im gorzej tym lepiej” zbić kosztami społeczeństwa własny kapitał polityczny. Społeczeństwo Warszawy coraz wyraźniej widzi, kto jest prawdziwym a kto fałszywym przyjacielem Polski”.

W PRASIE ZACHODNIEJ

Dzienniki „New York Times” i „Washington Post” przyznały wręcz, że wciągnięcie szereżów mas ludności w akcje ulicznych, demonstracji nie powiodło się, a władze nie miały kłopotu z opanowaniem sytuacji. Kilkusetosobowe, zamiast oczekiwanych tysięcy, manifestacje solidarnościowe w Chicago. Nowym Jorku i Waszyngtonie nie znalazły nawet odbicia w prasie.

Korespondent agencji Reutersa stwierdza, że starcia uliczne osłabiły pozycję przywódców podziemia. Demonstracje były rozlane w różnych miejscach i najwyraźniej źle zorganizowane.

Dziennik „L'Humanite” pisał w czwartek: Wybierając drogę starcia najskańsiej „kole Solidarności” dowiodły, że ich celem nie jest wyprowadzenie kraju z kryzysu, lecz popychanie do konfrontacji. W istocie celem ich wydaje się nie tyle wzniesienie ruchu związkowego, co destabilizacja państwa socjalistycznego za wszelką cenę.

Przegląd prasy

KTO BRONIŁ W KATOWICACH WIEŻY SPADOCHRONOWEJ?

— pyta w „PERSPEKTYWACH” (nr 28 z 27 sierpnia 1982 roku) Monika Warneńska. Chodzi oczywiście o obronę tej wieży we wrześniu 1939 roku. Było to już po odejściu wojsk Grupy Operacyjnej „Śląsk” — dowodzonej przez gen. bryg. J. Jagmina-Sadowskiego. Katowice broniły wtedy powstańcy śląscy i harcerze. Wieży spadochronowej bronili harcerze. Zginęli wszyscy. Ciało niektórych zrzucono z wieży. Nie wszyscy byli wówczas martwi. „Gdzie są ich imiona?” — pyta w wierszu poeta Tadeusz Kiłk. — Z płaskorzeźby zatartej tylko ciska wola...”

A Monika Warneńska pisze: „Sprawa okryta jest nimbem tajemniczości. Nie przyniósł rozwiązania zagadki ani popularny program w TV „Świadkowie”, ani audycje Polskiego Radia. Luki i niejasności w tak niedawnej przecież historii prowadzą do różnych absurdalnych przypuszczeń. Także do sugestii, że obrońcami wieży spadochronowej nie byli harcerze. To nieprawda. Katowice w dramatycznych dniach września 1939, kiedy z miasta i okolic wycofało się wojsko, broniło bowiem powstańcy śląscy i harcerze — ci ostatni obsadzili wieżę spadochronową. Na niej poległ Dlaczego jednak nie znamy ich nazwisk?”

Monika Warneńska pyta dalej:

„Czy wreszcie przemówi ktoś z tych, którzy znali i pamiętają do dziś chłopców i dziewczęta z tamtych lat — z Katowic, Chorzowa, z Nowej Wsi i Zalesza?”

Powtarzamy to pytanie w nadziei, że może wśród Czytelników „Odgłosów” znajdzie się ktoś, kto może przyczynić się do rozwikłania zagadki tak niedawnej przeszłości. Wystarczy napisać do nas, zatelefonować, przyjąć...

Tragiczne wydarzenia września 1939 roku opisują również i inne pisma. „PANORAMA” (nr 26 z 29 sierpnia 1982 r.) publikuje fragmenty meldunków i rozmów jużowych (prototyp dalekopisu) związanych z opuszczeniem Śląska przez wojska Grupy Operacyjnej „Śląsk” gen. bryg. J. Jagmina — Sadowskiego. Nato-

miast kolejny numer „PERSPEKTYW” (nr 29 z 3 września 1982 r.) omawia piórem Jacka Wilamowskiego stan publikacji niemieckich na temat wojny niemiecko-polskiej z 1939 roku. Początkowo panował w tych publikacjach duch pruskiego militarysty i goebbelsowskiej propagandy. Obecnie próbuje się pozorować obiektywizm, ale jeśli chodzi o podręczniki szkolne do nauczania historii, to „tylko nieliczne podają informacje, że Niemcy rozpoczęli działania wojenne przeciw Polsce bez wypowiedzenia wojny. A i te nie wyjaśniają bliżej, jakie miało to znaczenie, jak silnie implikowało determinację i wolę walki ludności polskiej, broniącej swojego państwa”. W publikacjach tych podaje się polską literaturę naukową jedynie dla podkreślenia pozorowanej obiektywności.

Przeszło wiele miejsca zajmuje w naszych publikacjach, ale przecież nie oznacza to ucieczki przed współczesnością, a jedynie wielką wagę, jaką przywiązujemy do naszej przeszłości, ciągle szukając w niej inspiracji i wytłumaczenia naszych współczesnych niepowodzeń. Zadajemy sobie wiele różnych pytań, różnie też starając się na nie odpowiadać. Na przykład NOT-owskie „WIADOMOŚCI PRODUKCYJNE” (nr 3 z 1—15 sierpnia 1982 r.) stara się odpowiedzieć i w rozmowie z prezesem Stowarzyszenia Włókienników Polskich — prof. Januszem Szoslandem na pytanie

CZY NIE MAMY ZA DUŻO INŻYNIERÓW?

Prof. J. Szosland uważa, że nie jest tak źle. Mówi on: — „Jeśli w całej gospodarce narodowej na 10 tysięcy zatrudnionych przypada około 200 inżynierów, a w krajach zachodnich przypada 3—4 razy mniej, to inżynierów włókienników przypada 72, tyle co w Wielkiej Brytanii czy RFN.”

Gorzej natomiast jest z technikami włókiennikami. Jest ich więcej niż potrzeba i w dużej części technika włókiennicza kończą kobiety, co też nie odpowiada potrzebom przemysłu lekkiego. Tak więc w przemyśle lekkim, jeśli chodzi o zatrudnienie inżynierów nie jest najgorzej, czego nie można powiedzieć o całej gospodarce.

Te same „WIADOMOŚCI PRODUKCYJNE” (i w tym samym numerze) donoszą o włoskiej ciekawostce: skarpetkach dla panów z... palcami. Bardzo wygodne dla sportowców szczególnie. Każdy palec oddzielnie okryty skarpetką. Wpływa to na utrzymanie właściwej temperatury w palcach, a także zapobiega nadmiernej potencji i tarcia skóry. Chodzi o człowieka w takiej skarpetce, a czuje się jak boso. Na razie tylko w słonecznej Italii. U nas długo jeszcze nie. Najpierw poradźmy sobie w ogóle ze skarpetkami i pończochami, których stale przecież brakuje. A potem... zobaczymy.

LUCJAN BOGUSZ

Redaguje zespół Ryszard Binkowski, Dariusz Dornżyński, Eugeniusz Iwanicki (z-ca sekretarza redakcji), Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak (sekretarz redakcji), Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Grażyna Olechnowicz (redaktor techniczny), Jerzy Panasewicz (z-ca redaktora naczelnego), Igor Sikirski (kier. działu literackiego), Karol J. Stryjski, Janusz Szymański-Głane (grafik), Lucjusz Włodkowski (redaktor naczelnny), Jolanta Wronska, Mirosław Zajdler (fotoreporter).

Stale współpracują: Tadeusz Błażejowski, Krzysztof Drzewiecki, Grzegorz Gazda, Witold Kasperkiewicz, Włodzimierz Krzemiński, Krystyna Namysłowska, Ewa Pankiewicz, Henryk Sroczyński, Jerzy Wilmański.

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy” al. A. Mickiewicza 11, kod 90-438 Łódź. Telefony sekretariatu i redakcji naczelnny 652-44, sekretarz redakcji 680-99, publiczny 677-70. Redakcja nie zamawia prenumerat, nie zwraca zastrzeżeń, nie ponosi odpowiedzialności za treść publikacji. Informacje o warunkach prenumeraty udziela oddział RSW „Prasa — Książka — Ruch” i Urząd pocztowy. Cena prenumeraty rocznej 1040 zł. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmują RSW „Prasa — Książka — Ruch” Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw 00-858 Warszawa ul. Towarowa 28, konto NBP XV oddział w Warszawie nr 1153 201045 139. Prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 90 proc. Dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa — Książka — Ruch”, Łódzkie Wydawnictwo Prasowe. Adres: ul. Piotrkowska 96, kod 90-103 Łódź. Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28, Nr Indeksów 36762. Zam. 1801 F-II.

Ciągle jeszcze jesteśmy w sytuacji poszukiwania właściwych słów dla określenia tego, co wydarzyło się w Polsce od sierpnia 1980 roku. Skłonni jesteśmy wciąż penetrować obszar kategorii i sformułowań politycznych próbując wśród nich odnaleźć te, które określałyby i osadzały jednoznacznie i raz na zawsze to, co wówczas w owe „polskie lato” się dokonywało. W dociekaniach tych próbujemy wciąż z różnych pozycji dokonać rozróżnień, co było faktycznym żywiołem, a co stanowiło już tylko zewnętrzny efekt tej czy innej inspiracji, co było przyczyną, a co skutkiem, konsekwencją nagłej i dla większości społeczeństwa niespodziewanej erupcji wulkanu kryzysu, który nie wygasł do dziś.

Rezonans już próbowano określać wydarzenia lata 1980 roku. Czynniono to głównie na potrzeby polityki i propagandy. W jednym, jak i w drugim przypadku robiono to na użytek doraźny. W próbach tych, będących co najwyżej przyczynkami do głębszej analizy tamtych wydarzeń, jak zwykle w przypadku procesów wciąż jeszcze dokonujących się, nie uszczegółowiło się do ocen kalek, jednostronnych, uproszczonych, a czasem wręcz nieprawdziwych. Nielatwa jest bowiem umiejętność odnoszenia się do spraw bieżących, często pogmatwanych, złożonych politycznie, a przy tym nie pozbawionych napięcia i emocji. Rzadką jest też umiejętność odnoszenia się z perspektywy strategicznych celów ideologicznych do skomplikowanych zawirowań politycznego życia narodu. Trudne to przedsięwzięcie, ale nie znaczący wcale, że niemożliwe.

NIE WYSTARCZY ŻAŁOWAĆ

Jak każdy z dotychczasowych kryzysów, „polskich zakrętów” tak i ten ostatni, o którym można już powiedzieć, że posiada silne polityczne i gospodarcze wstrząsy największą, a obszar społecznych skutków najrozszerzającą, pozostawi bardzo głęboką i trwałą rysę na świadomości narodowej i społecznej (klasowej). Z każdej burzy dziejowej, z każdego bodaj przesilenia, tak jak organizm żywy z przebytej choroby, społeczeństwo wychodzi mniej lub bardziej zmienione, doświadczone i czegoś nowego nauczone. To prawda, że cena tego rodzaju edukacji bywa zwykle bardzo wysoka. Płaciłmy ją już nieraz. To jednak już nasza narodowa wada, jak twierdzą niektórzy, że uczymy się nie w uniwersytetach (choć dorobiliśmy się ich sporo), ale wciąż na błędach. Lecz prawda jest i to, że socjalizm, jako ustrój stosunkowo nowy, nie wolny jest (jak każdy młody system społeczny) od gorzkich doświadczeń i drogiego nauczeka, a nawet — jak w naszym przypadku — niepotrzebnych ofiar, narodowych tragedii.

Poszukiwania najlepszych dróg przybliżania socjalizmu są prawdziwością w tym systemie, zaś rodzaj i zakres popełnianych po drodze błędów i wypażeń, to już w dużej mierze konsekwencja niewłaściwie pojmowanej tzw. narodowej specyfiki. Pod nią to skrywano wolańszizm i rewizjonizm, dogmatyzm i nieudacznictwo.

Wszystkie nasze poprzednie „zakrety” i kryzysy dotykały głównie wyżyn władzy. Wzmagały aktywność społeczną całego narodu, rozbujały w nim namiętności polityczne, jednak w stopniu o wiele mniejszym niż u progu lat osiemdziesiątych. O składach personalnych nowych ekip kierowniczych, o dalszych drogach i metodach rozwoju politycznego i ekonomicznego kraju, decydowała w rezultacie stosunkowo wąska grupa centralnego aktywu partyjnego i administracyjno-gospodarczego. Decyzje kierownicze, gremiów partyjno-państwowych były w sprawach strategicznych, a nierzadko i taktycznych, a więc bieżących, z politycznego punktu widzenia jedynie formalnością.

Tym razem było inaczej. Kryzys ostatni dotknął całe społeczeństwo, które stało się aktywnym uczestnikiem wydarzeń znanymi masowej i tak solidarnej opozycji względem skompromitowanej i nieudolnej władzy. Przy czym nie była to opozycja w stosunku do ustroju, ale sprzeciw wobec wielkości rozmiarów jego deformacji, sprzeniewierzenia się elity władzy. Szkoda tylko i żałować jedynie należy, że ten wielki żywiołowy pozytywny w swych intencjach bunt doprowadził robotnicze masy do ślepego zaufania destrukcyjnego „nie” bez rozsądnej alternatywy globalnego zreformowania wypaczonego systemu, do porażki nadziei. Winę za ten fakt ponosi wielu spośród przywódców i doradców tego ruchu. Z drugiej jednak strony winą starego kierownictwa partyjnego jest to, że zmarnowało tę wielką szansę wykorzystania entuzjazmu mas robotniczych w celu przedniego przełamania impasu i wyprowadzenia kraju na prostą stabilizowania sytuacji politycznej. Do tego jednak trzeba było mądrości i odwagi, jakimi nie wykazywał się wówczas nikt ze starego establishmentu.

Dziś zapewne nam wszystkim, każdemu z uczciwych i rozumnych Polaków, patriotów bardzo żal tych zaprzepaszczonej szansy. Ale jak to mówią od wieków: mądry Polak po szkodzi... Tak jak różne były postawy w Sierpniu i kolejnych miesiącach pogłębiającego się kryzysu, tak bardzo różnorodna odruchowa towarzysząca uczuciu przegranej, zawodu lub porażki odczuwamy dzisiaj. U jednych można było zaobserwować odruchy desperacji lub wręcz wolę odwetu, u innych znów niechęć do jakiegokolwiek w przyszłości aktywnego uczestnictwa politycznego, ucieczkę, tzw. emigrację wewnętrzną. Są i postawy im przeciwnie. Wielu jest takich i to zarówno po jednej, jak i po drugiej stronie wzniesionych po Sierpniu barykad politycznych podziałów, którzy potrafią i pragną wyciągnąć wnioski i nauki z błędów bez rezygnacji z tego, co w tym spontanicznym odruchu narodu było słuszne, szersze patriotyczne, klasowe w programach oraz socjalistyczne w treściach.

W dwa lata po Sierpniu wciąż pytamy: kto temu winien? Kto jest winien tej wysokiej ceny posierpniowych doświadczeń? Wśród rodziców stroszonych często na wywiadówkach za grzechy swoich pociech słyszy się, że taka klasa, taki nauczyciel. Czy można zatem trawestując powyższe powiedzieć: takie społeczeństwo, jakie jego przywództwo?... Muszę przyznać, że nie jestem tego tak całkowicie, bez zastrzeżeń pewien. Mimo to podtrzymuję, że w powiedzeniu tym jest coś z tak zwanej brutalnej prawdy. Bólem przywództwo (osobiste czy grupowe) zobowiązuje! Ale i naród, bo każda władza z niego pochodzi, ma również swój udział nie tylko w sukcesach, ale i w niepowodzeniach, niedostatkach i niedoróbkach życia codziennego. Czy to znaczy, że można postawić tezę, iż wszyscy jesteśmy jakos tam winni temu, że krocząc ku rozwinętemu socjalizmowi (taka rysowana w latach siedemdziesiątych perspektywa) cofnęliśmy się pod względem gospodarczym do poziomu roku 1974? O odpowiedź jednoznaczna trudno. Bo chociaż nie należy myśleć o narodach najbardziej pracowitych i gospodarnych (na swoim), to przecież nie wszyscy byli obibokami i złodziejami. A jednak za polityczną bez troskę, dwuletnictwo i zwyciężone złośliwość i jednych, odpokutować będą musieli wszyscy. Ten fakt utwierdza mnie w przekonaniu, wbrew temu co sadzą inni, że odpowiedzialność za losy kraju jest naszym, wszystkich Polaków obowiązkiem i prawem niezbawialnym. Zaś rolę władzy jest stworzyć polityczne warunki ku temu, aby ten obowiązek i prawo mogły być wypełniane.

Myślę, że uświadomienie sobie powyższego po doświadczeniach „polskiego lata” winno nastąpić już raz i na zawsze. Skutki kryzysu, które odczuwać będziemy jeszcze długo, niech prawdy tej będą przypomnieniem. Bo, jak mawiał starożytny Rzymianin: repetito est mater studiorum!

POWROTU NIE BĘDZIE

Zarówno władze, jak i znaczna część społeczeństwa przyrzekły to sobie solennie, że powrotu do sytuacji, do deformacji socjalizmu z okresu przed Sierpnem, ale i do politycznego chaosu sprzed 13 grudnia być już nie może. Z punktu widzenia dialektyki rozwoju społecznego jest to logiczne i prawidłowe. Jeśli ufać w tzw. zdrowy rozsądek narodu i poczuć realizm ze strony władzy, to życie winno być najlepszym gwarantem powyższego stwierdzenia. Ale i kryzys — choć może brzmieć to zaskakująco i przewrotnie — i jego pochodne będą swoistym „zabezpieczeniem” przed nawrotem do arogancji władzy w stopniu sprzed 1980 roku. Proponuję zatem zastanowić się nad sensem owego przyrzeczenia. Co to znaczy, że powrotów nie będzie? Dlaczego być nie może?

Jest wiele już dziś dowodów zaświadczaających prawdziwość i wiarygodność tego sformułowania. Dla przykładu wspomnę jedynie o dwóch.

Po pierwsze — wydarzenia sierpniowe i to, co po nich nastąpiło (a był to przykład procesu narodzin i skomplikowanego dojrzewania nowej jakości w obszarze świadomości społecznej, świadomości klasowej), obudziły naturalnie na tym etapie rozwoju społecznego aspiracje narodu w sferze władzy, tj. woli aktywnego uczestnictwa w systemie politycznym, aspiracje podmiotowego udziału w życiu społeczno-politycznym. Naród nie godzi się być dłużym przedmiotem manipulacji w rękach kolejnych ekip kierowniczych. Najgłośniejsze, najmocniejsze i najbardziej konsekwentnie domagała się spełnienia tych żądań wielkoprzemysłowa klasa robotnicza, awangarda narodu. Przy czym uważam, że Sierpień nie stworzył ad hoc tych aspiracji, nie był swoistego rodzaju „natchnieniem”, ale jedynie przyspieszył moment ich gwałtownej eksplozji. W innych warunkach owe uświadomienie sobie przez klasę robotniczą roli włodara w polskim, socjalistycznym kraju dokonałoby się zapewne mniej dramatycznie.

Ewentualnym moim adwersarzem chciałbym w tym miejscu przypomnieć, że immanentną cechą Polski współczesnej jest poważne zniekształcenie zaniechania intelektualnego i politycznego jakie odziedziczył naród z okresu lat przedwojennych. Jest to zjawisko pozytywne. Jest to niezaprzeczalne osiągnięcie socjalizmu. Stąd też zrozumiałe i uzasadnione jest to, że pokolenie wychowane i wykształcone w Polsce Ludowej, pokolenie trzydziestolatków najbardziej konsekwentnie domagało się tego, aby rzeczywistość nie odbiegała aż tak rażąco od głoszonych ideałów. Warto jeszcze nadmienić, że zjawisko wzrostu aspiracji podmiotowego uczestnictwa klas i narodów w szeroko rozumianej sferze władzy obserwujemy dziś we wszystkich rozwiniętych społeczeństwach obu systemów. Polska i polskie społeczeństwo nie stanowią tu żadnego wyjątku.

Od sierpnia 1980 roku ludowładztwo nabrało innego, właściwego na tym etapie rozwojowym sensu. To oznacza, że naród, a przede wszystkim klasa robotnicza stawać się będzie w coraz większym stopniu przedmiotem władzy, jej aktywnym uczestnikiem i kontrolerem. Ufać należy w to, że po przebudzeniu, które nastąpiło po Sierpniu nie uda się już nikomu zepchać Polaków w sen nieuczestnictwa w sprawach nas wszystkich dotyczących.

Polskie lato

KAROL JÓZEF STRYJSKI

Odruchem socjalistycznego patriotyzmu była rozbudzona latem 1980 roku troska klasy robotniczej o umocnienie suwerenności państwowej naszego kraju. Inna rzecz, że ośrodki nam wrogie wykorzystywały ten fakt na rozpalenie łańcuchów wciół wśród części Polaków nastrojów nacjonalistycznych, a nawet antyrządzieckich. Komuś na tym zależało.

Po drugie — gwarancją tego, że powroty nie będzie powinno być również i to, iż po Sierpniu uświadomiliśmy sobie i te prawdy, że państwo nie jest ani własnością, a tym bardziej prywatnym folwarkiem władzy, elitarnego kręgu administracji wysokiego szczebla, ale jest własnością i dobrem całego narodu. Aparat władzy w państwie socjalistycznym nie posiada funkcji podmiotowej. Jest jedynie aparatem usługowym, służącym wobec interesów i woli klasy panującej — robotników, wobec całego narodu.

JAK DO TEGO DOSZŁO

że w sierpniu 1980 roku wielkoprzemysłowa klasa robotnicza powiedziała gromko: nie! Nie było to veto przeciw ustrojowi, a jedynie przeciw systemowi sprawowania władzy, który był profanacją socjalistycznej ideologii. Raz jeszcze potwierdziło to, że do buntu, sprzeciwu klasy robotniczej dochodzi zawsze wówczas, kiedy elita władzy nie potrafi rzadzić „po nowemu”, sprzeniewierza się własnemu słowu, a naród nie chce lub już nie może dłużej żyć „po staremu”. Kiedy dochodzi do jakiegokolwiek rozmiłowania się deklaracji z nie dająca się dalej znieść obojętnie rzeczywistością. Jest to prawidłowość, którą jak wiele innych zignorowano. Zamieszki w lipcu 1980 roku, a potem pierwszą fazę strajków sierpniowych wzięło za replikę niedojrzałych w swojej klasowej wymowie wydarzeń z czerwca 1976 roku. Tymczasem działo się to już cztery lata później, w innej sytuacji społeczno-politycznej kraju. I był to już inny ruch.

Zapewne przyjdzie nam jeszcze jakiś czas zacząć na szczegółowe i gruntowne naukowe opracowanie dotyczące przyczyn i powodów wydarzeń lata 1980 roku. Tymczasem publicystyka powieła ogólnikowe oceny i stwierdzenia. Przeważają wśród nich te, które rodziły się krótko po Sierpniu. Wydarzenia „polskiego lata” doczekają się również już wcale pokątnych rozmiarów mitologii. Z biegiem czasu, z przedłużającym się okresem zawieszenia normalnego życia związkowego i politycznego mity — pomimo usilnych starań oficjalnej propagandy — zaczynają wyprzedzać nawet w miarę obiektywne próby wysvětlenia faktów z komentarzem ich politycznej wymowy. Dzieje się tak dlatego, że część społeczeństwa, szczególnie członkowie zawieszonych „Solidarności”, przyjmują do wiadomości i świadomości tylko to, co chcą przyjąć. Jest to szczególnego rodzaju odruch obronny. Idzie w nim między innymi o to, aby ocalić choć dla siebie sens tego, co się robiło, w co się wierzyło, co nie zawsze musiało być antysocjalistyczne. Jest więc bardzo prawdopodobne, że strajki na Wybrzeżu, które dały początek erupcji kryzysu i to, co potem krajem wstrząsnęło zachowa się w pamięci wielu Polaków, w tym również w pamięci młodego pokolenia przede wszystkim w kształcie mitologizowanego. Podobnie było z poprzednimi „zakretami”. Gdyby było inaczej nie trzeba byłoby po IX Zjeździe PZPR powoływać komisji do zbadania przyczyn i przebiegu kryzysów w PRL.

W interesie nas wszystkich, w tym także władzy, a i ruchu „Solidarności” leży, abyśmy jak najszybciej zaczęli mówić o okresie poprzedzającym dzień 13 grudnia całą prawdę. Poprzednio liczyły się przede wszystkim racje ruchu, dziś — w dużej mierze głównie racje władzy. Z niecierpliwością oczekiwac należy jutra, w którym liczyć się będą po prostu racje stanu i racje narodu. Racje oczywiście i dla znacznej części narodu przejrzyste i zrozumiałe. Nie umiając bowiem dociekać prawdy, nie potrafiać też, nie chcą wyciągać wniosków (choćby najbardziej bolesnych) z niedawnej przeszłości, nie będziemy mogli ufnie patrzeć w przyszłość.

PENETRUCJĄ SFERY MITÓW

można doszukiwać się co najmniej kilku wątków, tez i domysłów odnoszących się do genezy wydarzeń sierpniowych.

Jedną z tez mówi, że początki kryzysu sięgają roku 1976. Ostrą formę przybrał on już na VIII Zjeździe partii. Odejsie z funkcji premiera P. Jaroszewicza niewiele zaradziło komplikującej się coraz bardziej sytuacji. Co lepiej zorientowany krąg uczestników władzy zdawał sobie sprawę z nadchodzącej burzy. Nie przewidywano jednak katastrofy. Próbowano przykładem poprzedniego kryzysu dokonać „zamachu pałacowego” i korzystając z wygodnej formuły „ze względu na stan zdrowia”, przegrupować szeregi w gronie establishmentu. Strajki i zaburzenia społeczne w lipcu i sierpniu 1980 roku mogły być pretekstem lub sygnałem do działania. Warłani ten jednak nie w pełni się powiedli. E. Gierkę czuł się długo dobrze na zdrowiu i nie zamierzał prędko ustępować. Zapowiadał w jednym z swoich przemówień, że gotów był nawet dochodzić odpowiedzialności. Próbowano także kompromisów. Opóźniono to jednak tylko klęskę ekipy i uczyniło ją kompromitującą dla całej partii.

W ogólnych zarysach za tezę tą opowiada się wielu publicystów. Przykłady takiego stanowiska znajdujemy m.in. w książce M. F. Rakowskiego pt. „Przesilenie grudniowe”, gdzie autor pisze: „Z piątku na sobotę 5 września 1980 r. odbyło się VI Plenum KC PZPR, na którym został zwolniony ze stanowiska I sekretarza Edward Gierka. Odszedł — podobnie jak poprzednicy — w sytuacji kryzysowej. Nawet okoliczności jego odejścia były identyczne jak w przypadku Władysława Gomułki — choroba, nieobecność na plenum, które dokonało zmian na stanowisku I sekretarza, szpital, komunikaty lekarskie i wreszcie nieobecność na drugiej części VI Plenum (4-5.10.1980 r.), na którym dokonano obrachunku z polityką lat siedemdziesiątych”.

Wydarzenia na Wybrzeżu, a potem w całym kraju przeszły swoją żywiołowością i masowością jakiegokolwiek rachuby i kalkulacji. Stały się faktem politycznym, a następnie procesem samym w sobie, wobec którego długo nie potrafiono właściwie zareagować.

Inna teoria głosi, że „opozycja demokratyczna”, dla której ekipa E. Gierka stworzyła prawie idealne warunki działalności, najpierw zainspirowała, a następnie próbowała opanować dla swoich celów politycznych ruch robotniczego protestu. Ale tę grupę polityków zaskoczyły rozmiary rozruchów, masowość akcji strajkowej i spontaniczność robotniczej solidarności. Nie byli na taki rozwój wydarzeń przygotowani. Wkrótce także doszło, szczególnie w tzw. dołach „Solidarności” do konfrontacji rzeczywistych interesów robotniczych i „czapki” doradców. W tej sytuacji opozycja postanowiła osłabić wpływ oddać Kościółowi, próbując tym zyskać w nim swego sojusznika. Pod koniec sierpnia doradcy strajkujących orientowali się coraz bardziej na kompromis z władzą. Był to manewr, aby zyskać na czasie, skonstatować dotychczasowy bieg wydarzeń i opracować taktykę dalszego działania. Na tym etapie doszło do pierwszego wielkiego rozbięcia (podział nastąpił już wcześniej) w łonie „opozycji demokratycznej”. Ujawniła się z dużą ostrością jej wielowartościowość ideologiczna i polityczna.

Silny i wyraźny jest także wątek powiązania ruchu robotniczego buntu i Kościoła. Stał się Kościół sprzymierzeńcem „Solidarności” od pierwszych chwil jej istnienia, zapewniając sobie dość znaczny wpływ na poglądy i postawy wielu jej członków z L. Waleśa na czele. Wrazem tego może być poważny renesans ideologii chrześcijańskiej w szeregach ruchu. Kościół na tyle wspierał „Solidarności”, na ile mógł mieć w miarę skuteczną kontrolę nad jej poczynaniami z jednej strony, a z drugiej zaś — na tyle, na ile ruch ten był jego autorem w grze o jak najlepszą pozycję w systemie społecznym, w życiu politycznym. Można więc powiedzieć, że Kościół sercem był przy „Solidarności”, a rozumem przy władzy.

W spekulacjach tych stosunkowo najmniej skupia się uwagę na roli samej klasy robotniczej w tym, co się wówczas dokonywało. Tymczasem konieczne określenie wymaga to, z jakich potrzeb i przesłanek tkwiących w świadomości klasy robotniczej zrodził się ów ruch buntu i protestu. Na ile był to ruch żywiołowy i spontaniczny, a na ile uświadomiony, politycznie dojrzały? Jakie były uwarunkowania wewnętrzne buntu, a więc tkwiące w samej klasie robotniczej, a jak daleko sięgały inspiracje zewnętrzne? Jaki był faktyczny stopień uświadomienia celów podjętej walki? Jakie miejsce wśród powodów strajków zajmowały motywy ekonomiczne, a jakie najszerzej pojęte cele polityczne? Czy było to tylko jeszcze jedno „przebudzenie” na kolejnym „zakrecie”, a może nowa „jakościowo wyższa” faza procesu rewolucyjnych przemian w Polsce? Wreszcie odpowiedzieć także należałoby na pytanie: jaka wyszła klasa robotnicza z tych wydarzeń? Jaka ta klasa jest dziś, do czego po doświadczeniach „polskiego lata” dąży, jaka jest dziś jej świadomość i aspiracje polityczne?

Wszystkie te pytania są moim zdaniem niebawem ważne. A odpowiedzi udzielone na nie mogą okazać się niezmierznie interesujące. Uważam ponadto, że dopóki nie udzieli się na te pytania wyczerpujących i prawdziwych odpowiedzi, dopóki nie będziemy mogli odpowiedzieć sobie na pytanie główne, czyli — jak do tego doszło?...

Sytuacja Polski pod koniec lata 1980 roku była pod wieloma względami anormalna. Kryzys zaostrzał się z tygodnia na tydzień. Dlatego szansa na wypełnienie warunków „umowy społecznej” była nader mała. Władza nie bardzo mogła wywiązać się z jej surowych warunków, zaś młody ruch radykalizując się w poglądach i postawach eskalował żądania, stawiał coraz to nowe, coraz bardziej nierealne w danym czasie warunki. „Solidarność” wbiła wkrótce masy swoich członków w ambicje, które nie mogły być ziszczone w stopniu co najmniej równym jak te, w które wbiła nas ekipa E. Gierka. Odrad już funkcjonowała jedynie na kredytcie pierwszego, spontanicznego zaufania coraz mocniej zdeorientowanych i manipulowanych mas.

Ustawiczna eskalacja żądań placowych i socjalnych była w dużej mierze skutkiem tego, że ludzie nie chcieli, a wielu po prostu nie potrafiło uwierzyć, że zasoby i możliwości państwa były nader ograniczone, więcej niż skromne. W te iluzje nie ograniczyły możliwości państwa i jego rzekomej potęgi wbiła nas poprzednia władza dość skutecznie za pomocą tzw. „propagandy sukcesu”.

Niezależnie od wymowy faktów i mitów refleksje snute przy okazji drugiej rocznicy „polskiego lata” są jeśli nie smutne, to co najmniej pełne poważnej zadumy. To prawda, że gdyby nie to, co się wówczas wydarzyło w kraju, do dziś społeczeństwo nasze byłoby nieświadome wielu spraw. Ale przez samo uświadomienie sobie istnienia problemu jeszcze się go nie rozwiązuje. Myślę nawet, że od tamtego czasu problemów, trosk i sprzeczności nam nawet przybyło. Doszło sporo nowych, wcale nie łatwiejszych. Wierzę jednak, że prędzej czy później uda nam się z nimi pomyślnie uporać.

Myślę, że teraz, kiedy emocje społeczne z wolna opadają, a temperatura polemiki staje się coraz bliższa normalnej, można dać już ujście sprawiedliwym i pełnym ocenom „Solidarności”. Mam bowiem świadomość tego — i zapewne wielu z nas — że ruch ten w pierwszym etapie swojego działania dawał szansę wywalczenia się (w pozytywnym tego słowa znaczeniu) tym, którzy chcieli włączyć się w nurt odnowy, a dalecy byli od polityki. Z tego okresu pochodził choćby szereg trafnych opracowań, analiz i raportów, do których może warto wrócić, które należałoby bez uprzedzeń — jeśli jest to możliwe — wykorzystać. Jest to także sposób na ocalenie tego, co ocalenia warte, a nawet konieczne. Nie wolno popełniać błędów tych, którzy bezmyślnie przekształcali dorobek poprzedników w głoszące hasło „drugiej Polski” jak i tych, którzy kwestionowali osiągnięcia całego powojennego okresu Polski Ludowej.

P.S. Ostatnie niepowodzenia politycznego podziemia, któremu nie udało się 31 sierpnia sprokować masowego wyjścia robotników na ulice naszych miast, są argumentem za takim właśnie widzeniem nauki Sierpnia. Robotnicy, a w tym i robotnicy nurt „Solidarności” dali dowód swojej dojrzałości politycznej. Tym dowodem jest postawa dezaprobaty wobec namowy podziemia do tego, aby ulica i uliczne burdy miały walczyć z dyktować charakter i wnosć dominujące akcenty w panoramę naszego życia politycznego. I chociaż przedstawione w artykule tezy mogą wydać się kontrowersyjne, to myślę, że w dyskusji nad wnioskami płynącymi z wydarzeń „polskiego lata” i źródłami kryzysów mają i one szansę okazać się przyczynkiem do poznania.

Ród Witkiewiczów, który tak chwalebnie zapisał się w dziejach polskiej kultury, wywodził się ze Żmudzi. Osiedli w powiecie szawelskim, w pojezuickim dworze Poszawski, na dzierzawie wiejskiej. Gospodarował tam Wiktoryn Witkiewicz, wicemarszałek powiatowy. Miał dwóch synów: Jana i Ignacego. Starszy z nich, Jan, dał początek wspaniałości nazwiska, poświęcono mu szereg publikacji i dociekań naukowych, stał się bohaterem

powieści historycznych i mitu, także bohaterem filmu. Za uczestnictwo w działalności patriotycznej, spiskowej organizacji „Czarnych Braci” został skazany w r. 1824 na dożywotnią służbę wojskową. Miał wówczas 15 lat... Pełnił służbę na granicy stepów kirgiskich. Uczył się, dużo czytał. W roku 1829 przyjechał badać stepy uralskie wybitny uczony niemiecki Aleksander von Humboldt. W twierdzy

orskiej, gdzie służył Witkiewicz nastąpiło spotkanie uczonego niemieckiego z polskim zesłańcem. Witkiewicz zaskoczył i ujął Humbolta szerokimi horyzontami myślowymi, oczytaniem i wiedzą. Po przybyciu do Orenburga Humboldt wstąpił się za Witkiewiczem u gubernatora wojskowego hrabiego Suchtelena.

Zesłaniec, żołnierz, dyplomata

2

O polepszenie warunków stania Jana Witkiewicza i jego kolegów kroskich zapewne zabiegali także dwaj uczeni doradcy, Hans Hoffmann i Georg von Helmersen. To właśnie ci, którzy na polecenie władz petersburskich dołączyli w Miasku do ekspedycji Aleksandra von Humbolda i towarzyszyli mu do Orenburga. Mogli w drodze niemieckiemu uczonemu opowiadać o polskich zesłańcach, którzy swoją obecnością w konwojach na całej linii orenburskiej, zwracali na siebie uwagę.

ŻYCZLIWOŚĆ I POMOC ROSJAN

O polepszenie warunków służby byłych uczniów kroskich zabiegali również Rosjanie, którzy okazali polskim wygnańcom w Orenburgu dużo sympatii, współczucia, a nawet szerszej przyjaźni. Poznajemy ich w Dzienniku Tomasza Zana i jego korespondencji z filomatami i filaretami.

Niemalą miał w tym zasługę generał Korpusu Orenburskiego, Stanisław Ciołkowski, Polak z pochodzenia. Otoczył on opieką Tomasza Zana i zaangażował do uczenia języka polskiego i francuskiego swoich trojga dzieci: Piotrusia, Maszy i Anituty. Trzeba tu dodać, że filareci po odbyciu kary twierdzy żyli na wolności, ale z obowiązkiem zamieszkiwania w przydzielonym im mieście. Utrzymywać się musieli sami. Pracowali więc jako urzędnicy, dawali lekcje prywatne, itp.

Generał S. Ciołkowski od razu wprowadził Zana do miejscowego towarzystwa, które chętnie przyjmowało wykształconych Polaków. Pisał o tym Tomasz Zan w liście do Pietraszkiewicza z dnia 16 grudnia 1825 roku:

„Znajomy jestem z całym Orenburgiem, który dla mnie okazuje się być gościnny, uprzejmy i cywilizowanym. Wyższych jego mieszkańców składają urzędnicy wojskowi, naszymu krajowi obowiązani i z najlepszej strony jego charakter znający. Tak ujęty i obłaskawiony jestem ich przyjmowaniem serdecznym, że musiał zapominąć srogości, jaką mnie uciskać z obowiązku swojego powinni byli, i być nawet wdzięcznym niektórym”.

Dodawał jeszcze w tym samym liście, że dzięki Stanisławowi Ciołkowskiemu, „który mi wyjednywał użycia — wkrótce zaczęto mnie uważać i na obiad do siebie wyprasać”. Wspominał Zana, na przykład o zaproszeniu do generała Apollona Zemużnikowa na niedzielę, 6 lipca 1826 roku, podczas którego został przedstawiony Aleksandrowi Janowskiemu, dowódcy 5 batalionu stacjonującego w Orsku. Miał wówczas zapewne możliwość polecieć mu Jana Witkiewicza i Adama Suzina. Zresztą w Dzienniku pod datą 27 — 30 sierpnia 1826 roku figuruje jego nota: „Janowski był u mnie”.

Pozycja, jaką Tomasz Zan zdobył w społeczności Orenburga, miała duże znaczenie dla wyzwolenia się byłych uczniów kroskich z niewolniczej i prawie katorżniczej służby soldackiej w garnizonach, poprzez uzyskanie awansu, do którego dotąd nie mieli prawa na mocy skazującego wyroku. W czasie od 1825 do 1830 roku z wygnańców polskich w Orenburgu był tylko Tomasz Zan i on to swoim zachowaniem, zjednując przychylność miejscowych dygnitarzy wojskowych, tworzył grunt dla polepszenia doli Polaków w Kraju Orenburskim.

Przykład uczniów kroskich i filaretów zesłanych na linię orenburską potwierdza w całej rozciągłości słusność opinii cytowanych już badaczy radzieckich, Władimira Dżakowa i Gajrata Sapargalijewa, co do pomocy i opieki Rosjan świadczonych Polakom.

„Mimo tego — piszą oni — że rząd carski uparcie dążył do wzniecenia wśród miejscowej ludności nienawiści do polskich zesłańców, to jednak nie udało mu się tego osiągnąć. Po pierwsze dlatego, że ludność miejscowa mogła wyrabiać swój sąd o Polakach, obserwując ich działalność i zachowanie, po drugie zaś dlatego, że polscy zesłańcy niewiele różnili się pod względem sytuacji prawnej i materialnej od uciśnianych mas ludowych. Większość Rosjan widziała w Polakach ofiary samowoli i niesprawiedliwości carskiej administracji.

Wzajemna pomoc i wsparcie postępowych przedstawicieli rosyjskiego narodu pomagały Polakom w pewnym stopniu osłabić łancuch ucisku i ograniczeń, zachować związki z wolnością. Dzieje polskiego zesłania w Kazachstanie przepełnione są wyrażeniami przykładami pomocy okazanej Polakom przez postępowych Rosjan”.

Na potwierdzenie powyższego cytowany już list Zana do Pietraszkiewicza z 16 grudnia 1825 roku, w którym donosił:

„Jest tam w Uniwersytecie (w Moskwie) Fedor Apollonowicz Zemużnikow, z którym przedko postaraj się poznać: jego ojciec jest znanym generałem dywizji, który mnie w swoim domu jak rodzinnego przyjmuje (...). Codziennie u niego bywam i czasami mogę mieć przyjemniejszą, choć zawsze pośpieszną chwilę zaciętszej rozmowy, pojmowanego współczucia, ulgę sprawującego śpiwania”.

Do osób szczególnie też życzyliwych Polakom w Orenburgu zaliczał Tomasz Zan kapitała sztabu generalnego, Ignacja Lebediewa, który uczył się nawet języka polskiego, by móc czytać w oryginalne poezje Mickiewicza. On to przywoził z Moskwy i Petersburga listy Polaków do Orenburga i z powrotem, między innymi Zana i Adama Mickiewicza.

Godzi się w tym miejscu dodać, że na przejaw życzyliwych kontaktów postępowych Rosjan w stosunku do zesłanych Polaków, a mianowicie pełnienie przez nich jak gdyby funkcji kurierów przewożących listy Polaków w obie strony, w związku z czym unikano się cenzury państwowej, a konkretnie ograniczono się nadzór żandarmski — zwracając także uwagę W. Dżakowa i G. Sapargalijewa.

Wiadomość podana przez Zana o prośbie kroszan co do przeniesienia ich do armii czynnej,

o czym pisał jeszcze wcześniej do Mickiewicza w maju 1828 roku i zanotował także w Dzienniku i powtórzył później w liście do Pietraszkiewicza z dnia 5 listopada 1828 roku, mimo, iż była prawdziwa, nie znalazła jednak pomyślnego zakończenia.

O poczynionych w tym względzie staraniach przez dowódcę Samodzielnego Korpusu Orenburskiego, generała Piotra Essena, by uwzględnić prośby byłych uczniów kroskich z uwagi na ich dobre sprawowanie i dobrą służbę żołnierską, poświadczoną przez ich dowódców batalionowych i przeniesie do armii czynnej, znajdujemy wiadomość w aktach archiwalnych.

Wniosek generała Essena przesłany do ministra spraw wojskowych, znalazł swój epilog dopiero w końcu 1829 roku. Wystąpienie ministra spraw wojskowych, księcia Aleksandra Czernyszewa w tej sprawie do woli monarszej 8 grudnia 1829 roku odniosło ten skutek, że Mikołaj I odmówił przeniesienia kroszan do armii czynnej, natomiast wyraził zgodę na awansowanie Witkiewicza, Iwaszkiewicza i Pieślaka (Suchocki w tym czasie już nie żył) na podoficerów, jeśli będą na to zasługiwać z uwagi na dobrą służbę i przykłądne sprawowanie. Przyspieszenie decyzji cesarskiej awansu kroszan należy chyba powiązać z zabiegami uczynionymi przez Aleksandra von Humbolda.

W tym miejscu należy wyjaśnić, że wobec katorżniczych warunków garnizonowej służby wojskowej na linii orenburskiej z piętnem przestępcy politycznego, co wybitnie pogarszało sytuację — zesłańcy polscy, żołnierze szeregowi, zgłaszali się dobrowolnie na służbę w armii czynnej, celem zmycia winy. W danym wypadku kroszanie prosili o przeniesienie ich do armii walczącej przeciw Turkom na froncie bałkańskim. Odznaczenie się bowiem na placu boju zmywało winę i otwierało drogę do odznaczeń i awansów oraz przywrócenie praw szlacheckich. Wkroczenie Humbolda na drogę ich losu przyspieszyło polepszenie warunków ich dalszego życia i kariery.

SKUTKI INTERWENCJI A. von HUMBOLDTA

„Dnia 9-go z rana przyjechał sławny Humboldt — zanotował w Dzienniku Zan. — Widziałem go z uniesieniem cichem i cziu. Ma wyrażenie szczęścia i ro-

zumu, opartego na doświadczeniu. Człowiek wysoki, czysty, młody, błękitne, świeżące się. Łaskawo, uprzejmo, dworak. Do widzenia go dopomogła Zena (córka generała Apollona Zemużnikowa). Niemcy okazują nam grzeczność. Helmersen śpiwa”.

Aleksander von Humboldt z towarzyszącymi mu Hoffmanem i Helmersenem, a także profesorami berlińskimi, przyjechali do Orenburga 20 i 21 września 1829 roku. Honoru domu orenburskiego pełnił generał inżynier Grigorij Gens, prezes Komisji Granicznej, człowiek wykształcony, o szerokich poglądach. Generał-gubernator Piotr Essen wyjechał na inspekcję do Ufy, bowiem obraził się na Humbolda, który z drogi prosił listownie o przygotowanie dla niego okazów zwierząt z tamtejszej fauny.

Humboldt przebywał w Orenburgu sześć dni. Czekając na zmianę pogody, bowiem padał bez przerwy deszcz i nie można było czynić obserwacji astronomicznych. 26 września opuścił miasto i udał się dalej wzdłuż linii orenburskiej, w kierunku Morza Kaspijskiego. 13 listopada 1829 roku profesorowie berlińscy przybyli, w drodze powrotnej, do Petersburga.

Prawdopodobnie w tym też czasie Aleksander von Humboldt miał audiencję u cara Mikołaja I, podczas której interweniował na rzecz „Czarnych Braci”. Wstąpienie jego okazało się skuteczne, donosił o tym w liście do Tomasza Zana zarówno Hans Hoffmann, jak i Georg von Helmersen. W liście Zana do Pietraszkiewicza z 20 grudnia 1829 roku czytamy:

„Hoffmann pisze, iż Humboldt miał o naszych biednych żołnierzach wspomnieć Cesarzowi, skutkiem czego mają oni być wyniesieni na podoficerów, a Witkiewicz, jako umiemy języki tatarskie, umieszczony w pogranicznej komisji, w której i Suzin służy”.

Wstąpienie Aleksandra von Humbolda u cesarza za „Czarnymi Braci” stwierdza, na podstawie badań archiwalnych, Władimir Dżakow i Gajrat Sapargalijew.

„Po przybyciu do Petersburga — piszą — A. Humboldt dwukrotnie zwracał się do Mikołaja I z prośbą polepszenia losu polskich zesłańców, odwołując się z zachwytem o ich wykształcenie i rozumie. W swym drugim wystąpieniu A. Humboldt pisał: „W przedłożonym przeze mnie podaniu prosiłem Waszą Cesarską Mość o

awansowaniu w niedługim czasie do stopnia podoficerów znajdujących się w twierdzy: w Orsku — Iwana Witkiewicza, w Wierchnie-Uralskiej — Jelisieja (Alojzego) Pieślaka i w Troickoj — Wiktoru Iwaszkiewicza. Cesarz był taskawo poinformowany, że dola ich będzie ulżona. Ponadto ośmielałem się upraszać Waszej łaski o oddelegowanie Witkiewicza, który posiadał wielką wiedzę, zdążył nauczyć się języka kirgiskiego i perskiego i cieszył się sympatią swoich przełożonych, do utworzonej w Orenburgu komisji granicznej”.

Zabiegi A. Humbolda — stwierdzają badacze radzieccy — pomogły J. Witkiewiczowi przejść na służbę do komisji granicznej; co zaś tyczy się zamiarów ucieski, to zostały one porzucone.

Istotnie, w końcu 1829 roku nastąpiła wybitna zmiana w warunkach życia Wiktoru Iwaszkiewicza i Alojzego Pieślaka. Zostali oni awansowani na podoficerów, otrzymali prawo do pobierania żołdu, przez co poprawiła się ich sytuacja materialna oraz stosunek do nich władz zwierzchnich. Jan Witkiewicz otrzymał awans o kilka miesięcy później, został także przeniesiony z Orska do Komisji Granicznej w Orenburgu, zgodnie z prośbą A. Humbolda.

DYPLOMATY I... NIESPODZIEWANA ŚMIERĆ

Jakie były dalsze losy wyróżnionego przez Humbolda wśród kroszan, najmłodszego w pokroju — Jana Witkiewicza?

Jan Witkiewicz został przeniesiony do Komisji Granicznej w Orenburgu w charakterze tłumacza, został awansowany w połowie 1830 roku na podoficera, a w parę lat później na podchorążego, otrzymując pierwszy stopień oficerski. W odróżnieniu od swych kolegów kroskich, zaczął szybko piąć się w górę, wkrótce został adiutantem do poleceń specjalnych nowego generała-gubernatora orenburskiego, Wasilija Perowskiego (hr. Suchtelen zmarł w 1830 roku), a nawet powiernikiem i przyjacielem swego przełożonego. Stał się także ulubieńcem polskich wygnańców, nawet podziwianym przez nich, zwany „Batyrem”, bowiem dzięki jego osłonieciu i na kolonję polską spływały „łaski” pana gubernatora, zresztą ulubieńca samego cara.

Na przełomie roku 1835 i 1836 Jan Witkiewicz dokonał wielkiego wyczynu, który głośnym echem odbił się w Rosji i w Europie, zwracając uwagę na wielkie przyniosy jego charakteru, hart i siłę woli, niezwykłą odwagę i świetną orientację w terytoriach Azji Środkowej. Na rozkaz W. Perowskiego odbył sekretną misję do chanatów Chiwy i Buchary, podróż bardzo niebezpieczną, której znaczenie od strony badawczej, eksploracyjnej wysoko ocenił Aleksander von Humboldt jeszcze raz przedstawiając Polaka cesarzowi rosyjskiemu (w dedykowanej Mikołajowi pracy „Asie Centrale”, Paris 1843, we wstępie do tomu pierwszego). Wykonując ważną misję natury wojskowej Jan Witkiewicz, w warunkach zimowych pokonał odległość 3000 wiorst w 54 dni, konno, z konwojem 4 kozaków.

W końcu 1836 roku Witkiewicz otrzymuje następną misję dyplomatyczną o wielkiej wadze państwowej i jedzie po instrukcje do Petersburga. Tomasz Zan pisze do stolicy list rekomendacyjny do Franciszka Malewskiego.

„Spodziewamy się, że niezadługo do Was przyjedzie Jan Witkiewicz, chorąży rutejszego batalionu, przed jedenastu laty student Kroski, najmłodszy z przystających tu żołnierzy. Czasu tego użył na wyuczenie się

okolicznych języków: tatarskiego, perskiego; przeniknął się obyczajami rosyjskimi i azjatyckimi; przywykł do ich tonu i życia, a będąc z natury przystojny, zdrowy i silny, śmiały i zręczny i w domu mając wychowanie gładkie i wyświeżone, i w szkołach dobre — wszystkiego początki, stał się tu kochanym i potrzebnym człowiekiem, ile razy przychodzi jakowyś wpływ wynieść na Kirgizów.

Uczoność ma w poniewierce, jako zawiązującą prędkość działania, jako zmuszającą wazyć przedmioty przeszłości z wypadkami przyszłości, a przez to odolekającą od rzeczy teraźniejszych; tak rozwija w sobie charakter nowy, zasadzony na wstręcie ku tym przyniomtom u ludzi, które zrodziła cywilizacja europejska; i na tym upodobaniu ku tym, które ukazują w sobie indywidualną krajów Azji. Pan wojenny poznał zdolności Witkiewicza i łaską swoją go zaszczyca”.

W Petersburgu Jan Witkiewicz otrzymał misję dostarczenia Emirowi Afganistanu, Dost-Mohamedowi listu odrzecznego cara Mikołaja I oraz tajną instrukcję postępowania, celem zjednania wladców afgańskich w Kapulu i Kandaharze dla protekcji i opieki Rosji. Szukali oni ewentualnego oparcia w Rosji jako przeciwnicy wrota się Wielkiej Brytanii, która dążyła do utrzymania swej hegemonii na tych obszarach. W drodze do Afganistanu Jan Witkiewicz otrzymał również odrębny list od szacha perskiego dla doręczenia władcy kabulskiemu.

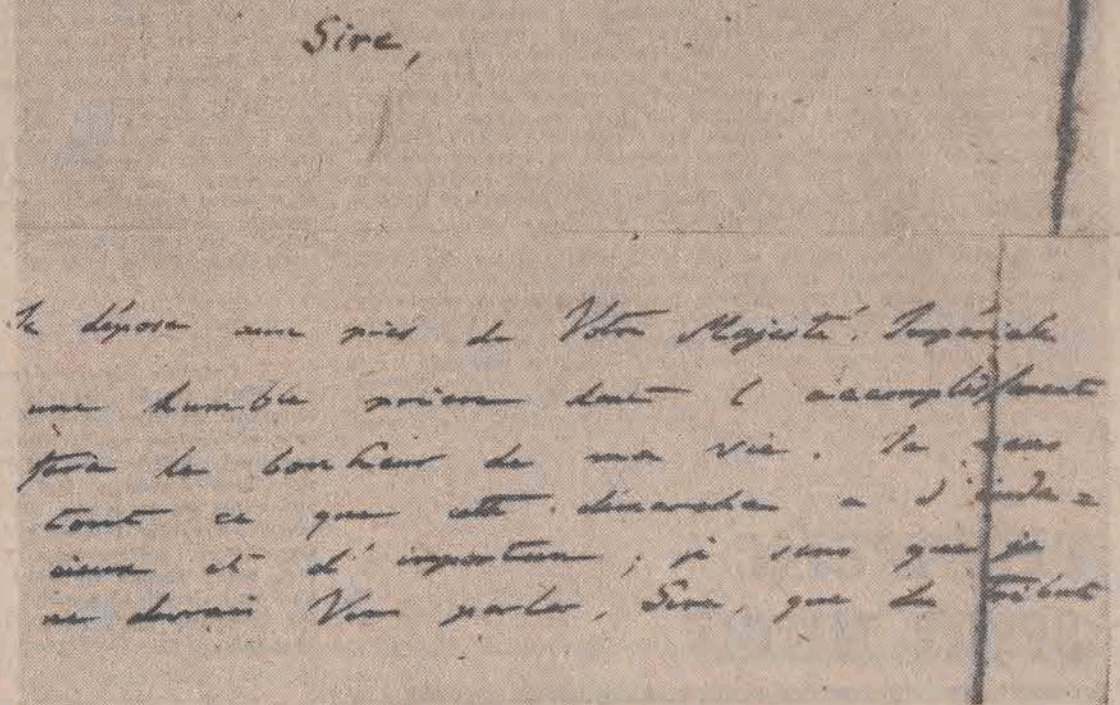
W Kabulu Witkiewicz znakomicie wywiązał się z poruczonego mu zadania. Zwyciężył bowiem w tej dyplomatycznej rozgrywce misję angielską, na czele której stał wielce doświadczony Alexander Burnes. Dzięki zrzecznej grze Jana Witkiewicza emir Afganistanu zerwał toczące się pertraktacje z Anglią i przyjął opiekę cara rosyjskiego. Sytuacja międzynarodowa nie pozwoliła Rosji wykorzystać rezultatów misji Witkiewicza. Na skutek demarche rządu brytyjskiego Witkiewicz został odwołany i wrócił do Petersburga na wiosnę 1839 roku. Misja dyplomatyczna Witkiewicza została wysoko oceniana w Rosji, jej rezonans w całej Europie był rozległy.

Jan Witkiewicz, w przeddzień audiencji u cara, który jakoby pragnął go zobaczyć, w chwili, kiedy otwierały się przed nim szerokie horyzonty i widoki na błyskotliwą karierę, 8 maja 1839 roku został znaleziony w hotelu martwy, z przestrzeloną głową. Śmierć jego otoczona jest tajemnicą do dziś nie wyjaśnioną. Według wersji urzędowej — popełnił samobójstwo. Ogólny ton dociekań historycznych na temat rodzaju i przyczyn śmierci Jana Witkiewicza, trwających do dnia dzisiejszego, jest zgodny: zgon jego nastąpił w tajemniczych okolicznościach.

Sprawilo to, że w rodzinie jego brata Ignacego zrodziła się legenda, że Jan Witkiewicz stał się wzorem drugiego Konrada Wallenroda, podchwycony później przez historyków polskich — Szymona Askenazego czy Henryka Mościckiego. Tadeusz Miciński w swej „Księdze tajemnej Tatr” podjął ten sam wątek: „Witkiewicz chciał wciągnąć Rosję w Wschód, by zderzyć z Anglią”. Myśl o wallenrodzynie w poczynaniach Jana Witkiewicza prawdopodobnie zrodziła się w umyśle jego synowca. Stanisław Witkiewicz, który badał dzieje krótkiego żywota swego stryja i wiązał je z losami Polski.

WŁADYSŁAW JEWSIEWICKI

Fragmenty monografii o Janie Witkiewiczu, złożonej w PIW. Tytuł całości i śródtytuły pochodzą od redakcji.



Fotokopia fragmentu odrębnego listu w języku francuskim Aleksandra von Humbolda adresowanego do cara Mikołaja I z dnia 25 listopada 1829 roku, St. Petersburg. Oryginał znajduje się w Moskwie, rkps CGWIA.

W niedzielę 20 czerwca — święto lasu. Ty-
siące plakatów na ulicach, dworcach i w
metrze, wzywających każdego Francuza,
by „zaadoptował jedno drzewo”. Sub-
skrypcje rozpoczęły się 18 tysiącach okie-
nek pocztowych. Rozpoczęła się ogrom-
na akcja. Będzie trwać całe lato. Jej cel:
zapewnić przetrwanie i rozwój lasów francuskich.
Inicjatywa wyszła od stowarzyszenia Espaces pour
Demain (przyszłość życia na jutro), któremu
przewodniczy dziennikarz Louis Beriot, a przyła-
czyły się do niej m.in. LE POINT i „Europe 1”.

Dlaczego ta powszechna mobilizacja? Dlaczego to
„S.O.S. dla lasów”? Ponieważ — debę, buki, sosny,
świerki — las, który jest jednym z głównych
naszych bogactw naturalnych i który może być jed-
nym z naszych zasadniczych zasobów, wydaje się
taczony przez podstępą chorobę. Wymowna liczb-
ba: 12 miliardów franków. Oto deficyt w bilansie
handlowym w 1981 r. za to, co nazywa się pozy-
skaniem drewna — katalog produktów od pulpę
drzewną do mebli, od tarcicy do olejków tropikal-
nych.

To drugi — daleko w tyle, to prawda — po ro-
pie naftowej wórek bez dna. Tymczasem Francja
posiada rozciągający się na jednej czwartej swoje-
go terytorium las o powierzchni 14 mln ha, co
stanowi prawie połowę powierzchni leśnej EWG.

Prezydent republiki dokonał — kilka dni temu
w Naves, w departamencie Corez — pikantnego
porównania: „Spójrzmy na Holandię. Co tam ro-
śnie? Nie szczególnie wysokiego. Widziałem przede
wszystkim tulipany i różne rzeczy przy ziemi.
Tymczasem Holandia osiąga korzyści z lasów, a
my mamy w tej dziedzinie deficyt. Tak nie moż-
na”.

Jeśli jednak Francja jest zmuszona importować
tyle drewna, lub jego pochodnych, to dzieje się tak
dlatego, że znaczna część jej własnych lasów jest
złe eksploatowana. A źle eksploatowana być może
dlatego, że trudna do eksploatacji. Trzeba przede
wszystkim wyciąć polany, zarośla, krzaki i od-
łogi leżące poza zasięgiem działania pily mechanicz-
nej. Trzeba przynajmniej, że wykorzystuje się bardzo
złe drewno drobne z lasów niskopiętnych, jak też
drobnie z lasów wysokopiętnych.

Dając rocznie 30 mln metrów sześciennych, las
francuski ma wydajność słabą, jeśli porównać go
z lasami Szwajcarii, RFN czy Szwecji.

Wyjaśnienie tego faktu leży w dużej mierze w
strukturze. Jedna trzecia lasów pozostających w
gestii państwa lub gmin dostarcza regularnie jed-
nej trzeciej produkowanego drewna. Pozostałe
dwie trzecie pochodzą z lasów prywatnych. Ale
las nie jest to nie są jednolite. Wprost przeciwnie. Pod-
czas gdy znaczna ich część jest należycie utrzyma-
na i wykorzystywana, to 3-4 mln ha znajduje się
praktycznie poza zasięgiem racjonalnego zarządza-
nia.

Czyż jednak może być inaczej? Na 1,5 mln wła-
ścicieli lasów, aż 85 proc. posiada obszar mniejszy
niż 4 ha; zaledwie 1,6 proc. ma obszar większy od
25 ha (i w ten sposób są objęci postanowieniami
planowymi nadzorowanymi przez państwo).

Francois Mitterrand wyjaśniał w Naves: „Pro-
blem niezwykle złożony. W kantonie, który reprezen-
towałem (jako deputowany do Zgromadzenia Na-
rodowego — DT BS), zamieszkałym przez 5 tys.
osób, było ponad 2 tys. właścicieli kawałka lasu.
Znaczący to, że osoby starzejące się porzuciły swoje
kasy, dosyć ubogie, i przeniosły się do Paryża, zaś
pracowały jedynie bardzo rzadko. Do czego więc
wykorzystywano las? Do pozyskiwania drewna o-
pałowego. Zbierano gałęzie, nie mając nawet odpo-
wiedniego personelu i możliwości prowadzenia go-
spodarki planowej”.

Zanim „młode rządy od dawna powoływały ko-
lejnych ekspertów, by sporządzali prognozy na te-
mat lasów. Ostatni z nich, Roger Duroure — depu-
towany socjalistyczny z Landów — otrzymał od
premiera misję... oczyszczenia przedpola dla prawa
leśnego, jakie rząd zamierza przedłożyć parlamen-
towi w 1982 r.

W swoim raporcie deputowany z Landów — su-
gerując utworzenie Ministerstwa Leśnictwa — pro-
ponuje przede wszystkim środki zmierzające do
poprawy zarządzania lasami prywatnymi. Chodzi-
łoby o nakłonienie właścicieli, żeby łączyli się i
powierzali eksploatację swoich dóbr regionalnym
zespołom właścicieli lasów. Państwo pomagałoby
tym zespołom finansowo. Sugeruje on również re-
organizację rynku drewna, a przede wszystkim
modernizację przemysłu drzewnego (tartaki, pa-
piernie), który ma na swoim koncie ogromne za-
późnienie.

Uznany za nazbyt „eksploatatorski” przez eko-
logów, zatroskanych głównie środowiskiem, raport
Durourea wywołał również pewne obawy wśród
leśników i właścicieli lasów. Obawiają się oni
swojego rodzaju zbiurokratyzowania zarządzania la-
sami prywatnymi. I oczywiście podkreślają, że ich
dotychczasowe wysiłki nie poszły na marne. „Od
1950 do 1981 r. produkcja zwiększyła się z 18 do
30 mln metrów sześciennych” — oświadczył prze-
wodniczący ich syndykatu, książę Hubert Leclerc
de Hauteclougue, syn marszałka, mar Laillé-Arbré-
a-Mouches, w departamencie Somme. „W latach
od 1940 do 1981 — mówi on — powierzchnia lasów
zwiększyła się o 2,5 mln ha, czyli o tyle, o ile
wzrosła w latach 1815—1940, tj. w okresie, kiedy
zadrzewiano Sologne i Landy”.

„Co więcej, jeśli wierzyć raportowi Durourea —
dodaje książę — od chwili obecnej do 1990 r. na-
stąpi znaczny wzrost produkcji drewna francuskie-
go, co poważnie zmniejszy deficyt przy jego po-
zyskaniu. Trzeba więc przede wszystkim dołożyć
staran, żeby znaleźć lepszy sposób wykorzystania
drewna jako surowca. I oczywiście kontynuować
zadrzewianie”.

W czasach Gallów las był wszechobecny. Można
było wówczas przejechać kraj nie wychodząc z
cienia drzew. Został on jednak zmasakrowany od
Średniowiecza do Rewolucji na opał, narzędzia,
okrety i katedry. Siegnął on dna za Napoleona,
kiedy jego powierzchnia wynosiła 8 mln ha, zaś
później rozpoczął ekspansję, która trwa do dziś.
Ale na razie osiągnęliśmy tylko poziom Średnio-
wiecza.

Trzeba sobie zdawać sprawę, że rozwój lasów to
przede wszystkim kwestia czasu. Czyż nie sprze-
daje się ciągle jeszcze dębów, które Colbert pole-
cił sadzić na potrzeby armii, bądź sosen z Landów,
przeznaczonych przez Napoleona III na podkłady
kolejowe?

Żeby las żył, trzeba mieć wiarę w przyszłość
i nie wahać się przed inwestowaniem na rzecz fu-
tura. Lysauley przybywając do Maroka powiedział:
„Trzeba dwóch wieków, żeby wyrósł cedr, jeszcze
jeden powód więcej, żeby sadzić już dziś”. Idea
nie jest więc nowa z pewnością ale nigdy nie za-
wadzi propagować ją — S.O.S. ogłoszone przez
Espaces pour Demain nie jest niepotrzebnym alar-
mem.

MIT NIE OTACZA JUŻ LASU

Las był zawsze wielkim źródłem mitów. Dzi-
siejsze mity są — zgodnie z charakterem epoki —
„scientystyczne” i „ekologiczne”.

„Drzewa zagęszczają się na nowo z każdej stro-
ny i nie widzieli nic przed sobą. Odczuwali więc
bardziej niż kiedykolwiek przedtem złą chęć lasu
ściśnięcia ich jeszcze raz ze wszystkich stron...”.
W powieści „Władca sfer”, sławnej sadze ludu
Hobbit, Tolkien opowiada na własny rachunek śred-
niowieczne przekleństwo, które ciąży nad lasem,
siedzibą diabłów i uroków.

Mit ten drogo kosztował lasy galijskie, już wów-
czas dobrze naruszone. Dostarczył on minichom.

Francja: S.O.S. dla lasów

Nie było nas, był las; nie będzie nas,
bo „nie las — to porzekadło wyrażające
uzasadnioną niegdyś wiarę w niewyczer-
palność zasobów leśnych, straciło już
dawno rację bytu. Teraz panuje coraz
powszechniejsze przekonanie, że lasy
mogą przestać istnieć dość szybko, a
wraz z nimi i my. Coraz więcej krajów
— przede wszystkim uprzemysłowionych
— podnosi troskę o zachowanie i rozwój
masywów leśnych do rangi polityki
gospodarczej. Cechą charakterystyczną
tej polityki jest zasada, że las, jako
dobro wspólne, winien być chroniony
przez wszystkich obywateli. Organizuje
się imprezy propagujące znaczenie lasów
na skalę ogólnopolską. Tak więc nasze
Dni Lasu nie są ewenementem
odosobnionym. Podobne imprezy —
święta lasu, dni zalesiania, sadzenia

czwartych tej przestrzeni, która w przyszłości
miała się stać Galją. W tamtej epoce, odrodzony
po wielkich zlodowaceniach, był on całkowicie
dziewiczy i dziki, „klimatowórczy”, jak mówią
naukowiec ekologowie. Nie było wielkich, regular-
nych skupisk dębów czy buków w tym samym
wieku, lecz nieprzenikniona platanina pni żywych
i martwych, drzew starych i młodych. Właśnie ta-
ki dziewiczy las zaatakowali. 8—10 tysięcy lat te-
mu, pierwsi rolnicy. W epoce galijskiej drewno
używane jest w coraz większym stopniu w nieca-
łkowicie tej przestrzeni, która w przyszłości

drzew itp. — odbywają się w wielu
krajach świata. Przykładem energicznego
działania na rzecz zachowania lasów
może być Francja, gdzie w tym roku
rozgłoszono „Europe 1” i tygodnik
LE POINT przeprowadziły
ogólnokrajową akcję troski o lasy.
Paradoks polega na tym, że Francja
posiada piękne i rozległe lasy, ale jej
rachunek za drewno jest bardzo wysoki,
bowiem 14 mln ha lasów przynosi
roczny deficyt w wysokości 12 mld
franków. „Na jaką chorobę cierpią
drzewa?” — pytał 14 czerwca br.
tygodnik LE POINT we wprowadzeniu
do bloku materiałów poświęconych
problemom lasów francuskich. Niżej
zamieszczamy wybór materiałów z tego
tygodnika, wydrukowanych pod wielkim
tytułem „S.O.S. dla lasów”.



Foto: Archiwum

których wkrótce nasiładowali chłopci, alibi dla ma-
sowego wycinania lasów. Podczas Rewolucji dia-
bel zmienił skórę, stał się szlachcicem i właścicie-
lem lasu. Las — symbol ucieku — przechodził więc
w inne ręce. Lud wyciął go do czysta.

Pod koniec naszego XX wieku las jest ciągle
bardzo płodny mitami i symbolami. Teraz jednak,
posługując się aurytatywnymi argumentami, na-
uka i ekologia zastąpiły ezoteryzm, religię i poli-
tykę. Nastąpiła jednak i zmiana — mit nie jest
już wykorzystywany przeciwko lasowi, lecz w je-
go obronę. Tak właśnie ma się rzecz z trzema
oklepanymi, lecz modnymi twierdzeniami: las jest
ostatnim reliktem dzikiej natury; las jest legen-
darną fabryką drewna; las jest naszą pompą tle-
nową.

Czy las jest naprawdę dziki? Zanim człowiek
wymyślił rolnictwo, las pokrywał około trzech

kuchennych oraz w dymkach — pierwotnych
hutach brązu i żelaza. Został zapoczątkowany pe-
wien proces. Proces tak intensywny, że rodzący
się w XVII i XVIII wieku przemysł pochłoniął za-
nim przepiękny las węgla kamiennego, to, co zo-
stało z lasów. Wszystko jest do odrobienia. Będzie
to sprawa inżynierów wód i lasów, którym uchwa-
lony w 1827 r. „Kodeks leśny” daje niezbędną ba-
zę prawną.

Dziś nie pozostało praktycznie nic z lasu „kli-
matowórczego”. Piękne skupiska dębów i buków,
które uwielbiamy, są w rzeczywistości prototypa-
mi lasów przemysłowych, wyprodukowanych
przez leśnictwo. Co oczywiście nie przeszkadza, że
są one doskonałym ekosystemem naturalnym...

Jeśli las nie jest już dziewiczy, to czy jest przy-
najmniej tak bajeczną fabryką drewna, o której
mówią niektórzy? Tworząc drewno, las przekształ-

ca, dzięki chlorofilowi w liściach, dwutlenek wę-
gla z powietrza w cukry. Machineria ta, fotosynte-
za, działa dzięki energii słonecznej.

Żeby ocenić wydajność tego systemu, trzeba po-
równać ilość energii słonecznej otrzymywanej przez
las z ilością energii chemicznej, produkowanej w
postaci cukrów. Rezultat: wydajność lasu wynosi...
1,5 proc. Jeśli las nie może zwiększyć wydajności,
to nie z powodu braku energii. Otrzymuje on bo-
wiem aż nazbyt dużo energii. Brakuje mu nato-
miast surowca, tzn. dwutlenku węgla, gdyż sta-
nowi on zaledwie 0,03 proc. powietrza.

W porównaniu z 30 procentami wydajności ma-
szyny parowej lub silnika samochodowego, owe
połtora procent wydaje się wręcz śmieszne. Nie-
mniej jednak bez fotosyntezy nie byłoby zwierząt
roślinozernych i miesożernych. Życie zwierząt jest
bowiem możliwe jedynie na bazie życia roślinne-
go.

Na koniec, dla wielu ludzi las oznacza tlen. Czy
jest to prawda? Pochłaniając dwutlenek węgla, li-
ście drzew, podobnie jak trawy na łące i algi w
morzu, wydzielają tlen. Tak, ale jak każdy orga-
nizm, las oddycha. To znaczy, żeby spalić cukry,
podstawę swego metabolizmu, pochłania on tlen
i wydycha z kolei dwutlenek węgla. Co więcej,
gniące liście i martwe drewno również zużywają
tlen i to w takich ilościach, że bilans końcowy
jest prawie równy zeru. Jednak dla całości szaty
roślinnej bilans przechyla się bardzo lekko na ko-
rzyść tlenu. Pochłaniając stopniowo dwutlenek wę-
gla, magazynując węgiel w postaci drewna i u-
walniając tlen, chlorofil roślinny doprowadził w
ciągu wielu setek milionów lat do przekształcenia
prymitywnej atmosfery naszej planety w powie-
trze nadające się do oddychania dla zwierząt. A
potem i dla człowieka. Dzisiaj ta rola (lasu) stała
się dla nas drugorzędna. W zamian za to las jest
skutecznym filtrem pyłu, a przede wszystkim
wspaniałą ochroną gleby przed erozją i pustynie-
niem.

WIELKI ŁAŃCUCH EKOLOGICZNY

Las nie jest zbiorem drzew. Jest to super-
organizm, w którym drzewo zajmuje najwidocz-
niejsze miejsce. Las to system: gleba, klimat, ro-
ślinność, fauna. Każdy składnik fizyczny, chemicz-
ny, roślinny i zwierzęcy oddziałuje na inne.
Jest to system ekologiczny — ekosystem.

Glisty (robaki ziemne) spulchniające próchnicę,
grzyby i mikroorganizmy, rozkładające liście i
drewno, dzięki czemu stają się one przyswajalne
dla roślin, bakterie pobierające azot z powietrza
dla korzeni, owady przenoszące pyłek kwiatowy,
ptaki polujące na pasożyty — wszystkie te skład-
niki są równie ważne jak drzewa. Drzewa zaś,
dzięki chlorofilowi w liściach, zasilane w ener-
gie przez słońce, pobierają dwutlenek węgla z po-
wietrza, który przekształca się w liście, konary,
pnie i korzenie, a wydzielają tlen. Las również
oddycha. Wydycha więc z kolei dwutlenek węgla
i pochłania tyle tlenu, ile go produkuje. Równole-
gle do cyklu węgla odbywają się dwa wielkie
cykle zasadnicze: cykl wody, bez której niemożli-
we jest życie, i cykl azotu.

Las, fabryka drewna z punktu widzenia gospo-
darczego, stanowi ważną masę życia — i ha de-
bów lub buków liczących 120 lat zawiera 315 ton
suchej materii roślinnej (dwukrotnie więcej, jeśli
liczyć również wodę nasycającą każdą materię ży-
wą). Każdego roku przybywa 15 ton nowych pro-
duktów. Na tę samą działkę hektarową przypada
również: 1,3 kg ptaków, 5 kg drobnych ssaków,
0,4 kg jelenia, 0,8 kg łani, 0,3 kg sarny i 0,7 kg
dzika.

Ten leśny świat jest zorganizowany w liczne
łańcuchy alimentacyjne na trzech piętach. Na
pierwszym poziomie drzewa i inne rośliny są sku-
bane, ogryzane i zżerane przez roślinozernych i inne
żarłoczne drugiego poziomu. Ptaki, owady i
ssaki są z kolei pożerane przez miesożerne dra-
pieżniki tworzące trzeci poziom tego łańcucha,
wzdłuż którego wydajność zawrotnie spada.

WARTOŚCI TRWAŁE

Dąb (Quercus) i buk (Fagus sylvatica) to dwa
dominujące gatunki lasu francuskiego. Sam dąb
zajmuje 32 proc. spośród 13,5 mln ha dziedzictwa le-
śnego, czyli prawie taki sam obszar, jak wszystkie
drzewa żywcze razem wzięte. Zajmuje 9,6 proc.
buk znajduje się tuż za sosną nadmorską.

Trzeba 180 lat, żeby dąb osiągnął wartość han-
dlową, a 120—140 lat, żeby wartość taka osiągnął
buk. Jeśli te dwa gatunki zajmują tak ważne
miejsce, to tylko dzięki lasom „podporządkowa-
nym”, zarządzanym przez państwo. Prywatni wła-
ściciele lasów poszukują drzew o szybszym wzro-
ście, a więc bardziej rentownych.

WARTOŚCI ZANIKAJĄCE

Sosna nadmorska (Pinus pinaster) zajmująca 11
proc. powierzchni i rozproszony wiaz (Ulmus) są
dwoma wielkimi chorymi lasów Francji.

W Landach sosna nadmorska tworzy nasze naj-
większe lasy przemysłowe, gdyż znajduje tam
idealne warunki i opiera się pasożytom. To samo
drewno w departamentach Maures, Esterel i Kor-
syka żyje w warunkach mniej sprzyjających.
Reszty dokonuje ogień. Wiaz cierpi na poważną
chorobę — grzybę. Zdaniem wielu ekspertów,
gatunek ten jest zagrożony całkowitym wyginię-
ciem.

WARTOŚCI POJAWIAJĄCE SIĘ

Jedlica (Pseudotsuga menziesii) jest najdroższym
dziećkiem leśników zakochanych w pięknych
drzewach i dbających o rentowność. To wspaniałe
drewno żywiczne, pochodzące z Ameryki Północ-
nej, osłaga wartość handlową już po 40 latach. W
chwili obecnej zajmuje ono tylko jeden procent
masywów leśnych.

Obok tego wydajnego lasu, francuskie władze
leśne opowiadają się za „owocowymi”, których
późniejszego drewna brakuje. Nie chodzi o to, żeby
zalesiać nimi całe obszary, lecz mieszać je z ga-
tunkami dominującymi, trochę czereśni, a przede
wszystkim orzechów.

Miasto z korabiem w herbie

Rozmowa z mgr ANDRZEJEM SROCZYŃSKIM — Naczelnikiem Miasta i Gminy Łask

Długoletnia z Tobą przyjaźń upoważnia mnie, żeby w tak oficjalnej rozmowie, jak ta, zwracać się do Ciebie po imieniu. Pozwól więc, że w związku z obchodami 560 rocznicy nadania praw lokacyjnych miastu Łask przez Władysława Jagiełłę, zadam Ci, jako Naczelnikowi Miasta i Gminy, kilka pytań. Powiedz zatem o swoich związkach z Łaskiem, gdyż podobnie jak ja, jesteś tu przybyszem, który urosł w to miasto.

Pytasz o moje związki z miastem nad Grabią. Otóż pamięć tych związków sięga równo 25 lat. W roku 1957, po ukończeniu Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Gdańsku, mimo nakazu pracy do Elbląga, trafiłem dzięki zupełnie przypadkowi do Łasku.

Wykorzystałem moje pasje sportowe, przyczyniając się do przedmiotów humanistycznych wychowanie fizyczne, które prowadziłem z prawdziwym zapalem, z młodzieżą „podstawówek” łaskich.

Te godziny spędzone z młodzieżą, satysfakcja z osiągniętych wyników i wdzięczność działaw, były powodem oswojenia się z myślą zostania tu i kontynuowania pracy.

W 1962 roku powierzono mi objęcie stanowiska Dyrektora Technikum dla Pracujących z zadaniem zorganizowania tej, potrzebnej w naszym mieście, placówki oświatowej. Miałem tam, jak się później okazało, przepracować prawie 20 lat, odchodząc w połowie stycznia br. z Zespołu Szkół Zawodowych w Łasku do pracy w administracji państwowej. Zostawiłem za sobą najlepsze lata mojego życia, wiele doświadczeń, satysfakcji oraz wielu ludzi zasłużonych dla tej szkoły oraz środowiska.

Tak z grubszą wyglądało moje wrastanie w to miasto, jego życie i problemy.

Twoja działalność na rzecz miasta Łasku daje się nie od dziś, sprawowałeś kilka odpowiedzialnych funkcji, a jako pedagog wychowywałeś tutaj młodzież. Co sądzisz o ludziach zamieszkujących tę historyczną miejscowość?

Rzeczywiście, w swojej wieloletniej działalności pedagogicznej i społecznej miałem sporo okazji do poznania w miarę dobrze wielu ludzi, zarówno tych „miejscowych” jak i tych, którzy podobnie jak ja, do tego miasta przybyli aby tu zostać, założyć rodzinę, pracować. W miarę czasu, jak rozwijało się miasto, jego przemysł, usługi itp. tych z zewnątrz przybywało coraz więcej, rosła ilość mieszkańców naszego miasta.

Jacy są mieszkańcy Łasku?

Na pewno różni. Ale ja w tych ludzi muszę i chcę wierzyć. Bez dotarcia do nich, przekonania o konieczności wspólnego działania, zaangażowania w rozwiązywanie problemów tego miasta, żadna, tak zwana władza, w tym środowisku niewiele zrobi. Mamy wiele takich przykładów właściwych postaw i zachowań. Znajdujemy ich w Ruchu Odrodzenia Narodowego umacniającym się w naszym środowisku, samorządach mieszkańców, Towarzystwie Przyjaciół Łasku i wielu innych organizacjach.

Czy tych ludzi jest dużo?

Jest ich raczej za mało. Docieranie do nich, pozyskiwanie do wspólnych poczynań w tym mieście uważam za jedną z najważniejszych ze swoich powinności.

Jak to zrobić?

Uważam, że muszę częściej niż dotychczas znajdować czas, aby być bliżej ludzi, ich problemów, kłopotów i radości. Jeśli mi się to nie uda, będę uważał to jako swojego rodzaju porażkę. Na razie jestem dobrej myśli.

Drogi Andrzej, podejmując się kierowania tak skomplikowanym zespołem administracyjnym jak miasto i gmina, czy zdawałeś sobie sprawę z faktu, że wielu Twoich poprzedników „straciło twarz” lub po prostu okryli się nieślawą. Na dobrą sprawę w pamięci ludzkiej nie zachował się ani jeden z burmistrzów, którego społeczność miasta wspominałaby z wdzięcznością. Czy nie boisz się, że spotka Cię ten sam los?

Obejmując stanowisko naczelnika miasta i gminy w Łasku nie analizowałem losów moich poprzedników, bo po prostu nie miałem na to czasu. Czy „oni” stracili twarz i nie zasłużyli na wdzięczność potomnych w tym mieście? Osobiście uważam, że każdy z nich działający w określonych, innych zresztą, warunkach zrobił tyle, na ile pozwoliły mu na to posiadane kwalifikacje, zapal i określone cechy charakteru. W sumie zrobili dla tego miasta dużo. A że nie wszystkim się podobałi to inna zupełnie sprawa. Legendy zazwyczaj rodzą się później i nie zawsze z racjonalnych pobudek. Ten tylko nie robi błędów, kto nie nie robi — wciąż adekwatne w odniesieniu do nas wszystkich.

Czy ja się boję podobnego losu?

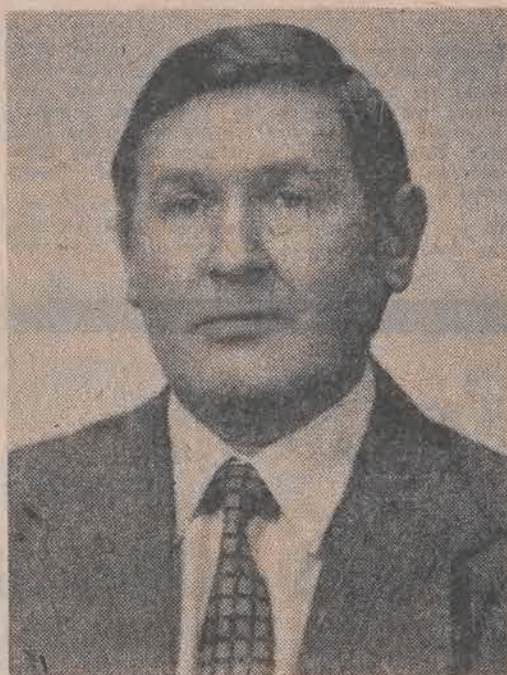
Wyobraź sobie, że się tak bardzo nie boję, choć brzmi to mało skromnie. Wiem, że muszę się wiele uczyć i wiele nauczyć kierując tak skomplikowanym zespołem jak miasto i gmina. Wśród ludzi, z którymi współpracuję jest wielu z dużym doświadczeniem zarówno życiowym jak i zawodowym. Staram się z tego doświadczenia korzystać. Chciałbym w wyniku oceny swojej działalności wiedzieć, że to, co robię, jest uwiarygodnione społeczną akceptacją. Jest to dla mnie szczególnie ważne. Jeśli tej akceptacji zabraknie odejdę, bo taka winna być kolej losu.

Dobra praca administracji państwowej zależy od wielu czynników. Dobra współpraca z instancją miejsko-gminną, stronnictwami politycznymi, radą narodową tworzą właściwą atmosferę ułatwiającą rozwiązywanie niełatwych i ważnych problemów dnia codziennego. Taką właśnie atmosferę w Łasku mamy.

Miasto i jego problemy, to przede wszystkim ludzie ze swoimi kłopotami. Powiedz zatem, jaki winien być dzisiaj naczelnik?

Rozumiem, że nie chodzi Ci o to, aby wylizywać w sposób encyklopedyczny wszystkie elementy składające się na model tzw. dobrego naczelnika.

Przed wszystkim dobry naczelnik jest to pojęcie względne i niejednoznaczne. Oprócz do-



brego „wypadania” w stosunkach z przełożonymi winien umieć rozwiązywać różnorodne społeczne problemy i ludzkie kłopoty. Ponieważ tych kłopotów i ludzkich problemów jest więcej niż możliwości ich rozwiązywania (casus mieszkaniowy) naczelnik nie jest w stanie wszystkim zwracającym się o pomoc, pomocy tej udzielić. Najgorsza w tym wszystkim jest bezsilność, jeśli mimo wszystko temu potrzebującemu czegoś obywatelowi nie jest się w stanie, z przyczyn obiektywnych, pomóc. Jednak staramy się na ogół w Urzędzie, aby kłopoty z jakimi zwracają się do nas mieszkańcy, w miarę posiadanych środków i możliwości, rozwiązywać.

Łask, jak wszystkie miasta w Polsce, posiada wiele problemów, których nie udało się rozwiązać. Twoim poprzednikom, a których Ty zapewne także nie pokonasz mimo chęci i wysiłków. Myślę przede wszystkim o budownictwie mieszkaniowym.

Moim poprzednikom udało się wiele problemów miasta rozwiązać. Myślę tutaj chociażby o poprawie stanu dróg, oświetlenia, komunikacji miejskiej. Aktualnie miasto otrzymuje już funkcjonującą nowoczesną oczyszczalnię ścieków wraz z kolektorem, a w przyszłym roku wodę z nowego, budowanego obecnie ujęcia. Rozwiązanie tych tematów stawia Łask w czołówce miast województwa sieradzkiego i stanowi jednocześnie warunek sine qua non dalszego rozwoju miasta. Myślę także o nowych terenach pod budownictwo wysokie jak i jednorodzinne. Pomału kończymy zabudowę osiedla im. Batorego, na którym w ciągu dwóch najbliższych lat skończą się tereny budowlane. Aktualnie na deskach projektantów „Inwestprojektu” w Łodzi powstają plany nowego osiedla tzw. „Zatorze”. Władze miasta muszą stać się na uwadze zabezpieczenie nowych terenów pod budownictwo, gdyż problem mieszkaniowy w Łasku należy również do najtrudniejszych, a liczba oczekujących na mieszkania stale się wydłuża. Oprócz budownictwa społecznego chcemy wydzielić tereny pod budownictwo jednorodzinne. Problemem, przed rozwiązaniem którego w mieście stoimy, jest sprawa zbudowania ogólnej ciepłowni miejskiej eliminującej z naszego środowiska dziesiątki istniejących małych kotłowni.

W 560 rocznicę swojego istnienia miasto otrzymało usytuowany na osiedlu im. Sobieskiego żłobek.

Pamiętam Łask z lat czterdziestych i z późniejszych dziesięcioleci. Miasto z 1946 roku i miasto z 1982 r. to dwa różne miasta. Czy zamierzasz więc pozostawić po sobie coś, co zostanie w krajobrazie Łasku i co zawsze będzie się łączyć z Twoim nazwiskiem?

Tak, miasto się zmienia, nie zawsze to zauważamy patrząc na nie codziennie. Trzeba pewnego dystansu czasowego lub spojrzenia z zewnątrz, aby te zmiany zauważyć. Pomnika przesuwam na pewno nie będę. Odchodząc kiedyś, chciałbym zostawić po sobie pamięć i przeświadczenie ludzi, że zrobiliśmy w tym mieście wszyscy tyle, ile naprawdę w określonych, niełatwych przecież warunkach, można było zrobić. Nie chodzi mi wcale o jakieś spektakularne działania chociaż, chcąc być szczerym, chciałbym aby udało mi się oddać społeczeństwu naszego miasta nowy, będący w budowie, ośrodek sportu i rekreacji.

Na zakończenie pytanie futurologiczne: jak Naczelnik Miasta i Gminy Łask widzi gród nad Grabią, powiedzmy za lat dziesięć lub dwadzieścia? Jaki będzie, gdy zjawie się w tym gabinecie na kolejny wywiad z okazji 600 lub 650 lecia?

Będzie to miasto już ponad 20-tysięczne, połączone promenadą spacerową z Kolumną, 7 ośrodków sportu i rekreacji wkomponowanym w odrestaurowany park miejski. Nowe zbudowane osiedla, jeśli nie rozwiąza, to przynajmniej złagodzią problem mieszkaniowy.

Przybędzie nowych szkół, przedszkoli, sklepów, terenów zielonych, lepiej funkcjonować będzie komunikacja miejska i urządzenia komunalne. Wierzę, że będzie to miasto, dzięki wspólnemu wysiłkowi władz i jego mieszkańców czyste, zadbane, po prostu ładne. Tego chciałbym życzyć wszystkim tym, którym przyjdzie w tym mieście żyć za lat powiekszy pięćdziesiąt.

Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał:
EUGENIUSZ IWANICKI

W tym roku Łask obchodzi swoje 560-lecie, bowiem w 1422 roku miłoścywie wówczas panujący król Władysław Jagiełło, po usilnych zabiegach Jana Łaskiego, chorążego sieradzkiego, uczestnika bitwy pod Grunwaldem, nadaje osadzie leżącej w dorzeczu rzek Grabi i Pisi prawa miejskie. Od tego momentu zaczyna się właściwa historia grodu. Ale dlaczego Łask? Skąd ta dziwna nazwa? Otóż historycy nie są zgodni co do jej pochodzenia. Jedni utrzymują, że wywodzi się ona od Łazów, dawnych karczowników leśnych, którzy tu, na terenach królewskich oczyszczali tereny pod przyszłą osadę, inni, opierając się na wykopaliskach, twierdzą, że nazwa pochodzi od bojar ruskiego Łasko, który miał być zaufanym księcia kijowskiego Świętopełka, zięcia Bolesława Chrobrego. Historycy twierdzą, że po bitwie pod Altą w 1019 r. pomiędzy Świętopełkiem a jego bratem Jarosławem Mądrym o tron ponosił klęskę i schronił się do Polski, a jego teść Bolesław Chrobry obdarzył dzielnych wojów ziemią. Łasko miał być szczególnie obdarowany: otrzymał właśnie ziemię leżącą w dolinach dwu rzek: Grabi i Pisi. Ta wersja, choć nie ma niezbitych dowodów, zawiera sporo prawdopodobieństwa. Otóż prowadzone wykopaliska archeologiczne w okolicach Lutomińska, potwierdzają pobyt ruskich wojów na tych terenach.

Kolejną zagadkę stanowi herb miasta. Skąd wziął się korab, którym pieczętował się wielkopolskiród Korabitów, którzy wchodząc w posiadanie Łasku, przyjmują nazwisko Łaskich?

Wracając jednak do królewskiego przywileju lokacyjnego, trzeba powiedzieć, iż był to doniosły akt dla mieszkańców osady: kmiecie uzyskali prawa mieszczańskie i poddani zostali opiece władz samorządowych. Ponadto, jak

Jubilat

EUGENIUSZ IWANICKI

przystąpiło na miasto królewskie, posypały się na Łask różne przywileje. I tak: Aleksander Jagiellończyk w dniu 17 listopada 1504 r. ustanowił czwartek dniem targowym (zwyczaj ten przetrwał do dziś). Był to niezwykle ważny akt, gdyż przyczynił się do rozwoju rzemiosła i handlu.

I nagle klęska: w 1523 r. Łask spłonął doszczętnie! Dziedzice miasta uprosili wówczas Zygmunta Starego, by miasto zwolnił od podatków na lat piętnaście, a także zezwolił na dodatkowy dzień targowy. W 1613 r. Zygmunt III przyznał Łaskowi prawo do czwartego dnia jarmarku w roku.

Miasto rozślawiło potężny i możny ród Łaskich, który wydał wielu znamienitych i wybitnych mężów. Czytając dzieje owych niepospolitych ludzi natrafiamy nieustannie na czyny wzniosłe i intryganckie, na niepospolitą odwagę i na pieniężność, na energię i na wielkopolską dumę, na poświęcenie i na awanturę, samowolę, rozrzućność, zuchwałość i przebiegłość. Przywary przemieszane z niewątpliwymi zaletami, sprawiły niemało kłopotu najwybitniejszemu z rodu, Wielkiemu Kancelarzowi Koronnemu, prymasowi Polski, Janowi. On to bowiem, nieustannie korygując błędy swoich bratanków, zebrał w całość wszystkie dotychczasowe prawa polskie, które przedstawiał na sejmie w Radomiu, a które otrzymały nazwę Statutu Łaskiego. Pod jego kierownictwem został także opracowany spis funduszy kościelnych diecezji gnieźnieńskiej, który wraz ze spisem diecezji krakowskiej sporządzonym przez Jana Długosza, stanowi cenne źródło geograficzno-historyczne znane pod mianem Liber Beneficiorum. Bratanek Jana, Hieronim Łaski, za wybitne zasługi otrzymał od króla węgierskiego Kieżmark i Nidzicę oraz zarząd nad całym Siedmiogrodem. Inny bratanek, również Jan, zasłynął jako reformator kościoła, w końcu został w Londynie superintendentem gminy cudzoziemskiej.

Nie miejsce tu, by wspominać wszystkich Łaskich. Wystarczy, jeśli powiem, że za ich czasów miasto należało do najbogatszych w Polsce. Dopiero częste pożary, a także utraciłość jego późniejszych dziedziców i właścicieli, spowodowały upadek tego pięknego grodu.

Bardzo zawiłe, nieraz tragiczne w skutkach, były losy Łasku przez kilka kolejnych wieków. To podlegał pod Sieradz, to pod Kalisz, Piotrków, Warszawę. Aż w 1867 r. utworzono powiat łaski z 17 gmin dawnego powiatu sieradzkiego i jednej gminy powiatu Piotrkowskiego. Do powiatu weszło 5 miast oraz 18 gmin. W trzy lata później Widawa, Lutomiński i Szczerców spadły do roli osad.

Dziś Łask ponownie znalazł się w granicach województwa sieradzkiego, jako Miasto i Gmina.

Gdyby chciało się porównać miasto, powiedzmy z lat czterdziestych, z tym dzisiejszym, okazałoby się, że z tamtej prowincjonalnej miejsciny niewiele pozostało. Przede wszystkim zmieniła się architektura: weszło budownictwo wielkopłytowe, powstały całe osiedla domków jednorodzinnych, ciągle przeznaczają się nowe tereny pod nowe domy. Do Łasku dotarł przemysł meblowy, włókienniczy, ceramiczny, przetwórczy. Jest wreszcie nowoczesny szpital, ulice pokrył asfalt, jest kanalizacja miejska, będzie ogólnomijska kotłownia, będzie ukończona promenada łącząca Łask z Kolumną, która stała się jego dzielnicą. Są szkoły średnie i zawodowe, podstawowe, przedszkola...

Jak na swoje 560-lecie Łask wygląda teraz młodzież.

Jest to zasługa ludzi, którzy tworzą tę jego młodzież i dla których Łask, podobnie jak dla mnie, jest czymś więcej, niż tylko miejscem chwilowego pobytu.

Foto: M. Zajdler

ODGŁOSY 7

Podróż pierwszą klasą pociągu osobowego czyli co można wysnuć z historii o cyrkowym artyście

MAREK KOPROWSKI

Gdy zajmowałem wygodne miejsce w pustym przedziale wagonu pierwszej klasy pociągu osobowego, do odjazdu pozostało jeszcze sporo czasu. Podniosłem torbę na półkę, opuściłem szybę i siedłem przy oknie, twarzą w kierunku jazdy. Ledwie się usadowiłem, usłyszałem hałaśliwe wsiadanie do wagonu, któremu towarzyszył radosny, donośny głos:

— No, jest. Pierwsza klasa. Jest pierwsza klasa! Wiedziałem, że będzie.

Po chwili, do przedziału w którym zamierzalem przesiedzieć podróż, wszedł właściciel tego głosu. Był sam. Miał z piętnaście lat, jakieś kanapki i butelkę „cytronelę”.

— Pierwsza klasa — cieszył się — to rozumiem. Miękką, wygodną, dużo miejsca. Bo zawsze tylko druga i druga — teraz w głosie zabrzmiała skarga. — A tam tłok, pełno ludzi, nie ma miejsca do siedzenia, duszno i nudno.

Zaczerpnął powietrza i mówił znów wesoło:

— Bo ja będę jechał pierwszą klasą po raz pierwszy. Od dawna było to moim marzeniem. Wie pan, ile butelek musiałem nabierać i sprzedawać? Zbierałem chyba z tydzień. Ale udało się. Niech pan zobaczy. Jest! — podał mi swój bilet.

Zobaczyłem.

— Jest — potwierdziłem, bo rzeczywiście stało czarno na zielonym: I KL.

— No widzi pan — mówił podniecony. — Może pan usiąść gdzieś indziej? Bo ja chciałem przy oknie.

Są dwa miejsca przy oknie, pomyślałem, ale niech tam. Usiadłem naprzeciwko i zacząłem mu się przypatrywać. Odwinał z pergaminu dwa kotlety i chleb i zabrał się do jedzenia. Zajadał łapczywie, głośno miaskając i popijając co chwilę z butelki.

Pociąg powoli zapelniał się podróżnymi. Do naszego przedziału również ktoś tam dośiadał. Chłopak skończył jeść, zmiażdżył papier, wrzucił do śmietniczki, wypił resztę napoju i rozsiadł się wygodnie na swoim miejscu. Każdemu, kto zaj-

mował miejsce w naszym przedziale, opowiadał z przejęciem o zbieranych butelkach, o tym jak je sprzedawał, by zdobyć bilet pierwszej klasy, którą będzie jechał po raz pierwszy. Wyrażał również niechęć do niższych klas kolejowych, które są zwykłe przepełnione i nie ciekawe w nich się nie dzieje.

— A masz pieniądze na powrót? — zapytał ktoś przytomnie.

— Nie, ale pomogę nosić walizki i inne bagaże, to zarobię — nie miał wątpliwości.

Podobał mi się jego optymizm. Nie było dla niego rzeczy niemożliwych. Z radością zaproponował swoje miejsce przy oknie jakiegoś człowieka, który z tęczką, a sam usiadł koło drzwi.

Pasażerów przybywało, zaczęła się robić tłoczno. Chłopak rozpoczął po raz kolejny opowieść o tym, jak to on... butelki... pierwsza klasa... o... bilet... jest? Znałbym go, choć był naprawdę sympatyczny. Zabrałem torbę, uśmiechnąłem się w powietrze i wyszedłem z przedziału. Na korytarzu stało dużo ludzi. Jedni palili, inni nie, jeszcze inni czytali gazety albo gapił się przez okna. Odkładane korytarzowe krzeselka były pozajmowane.

Przez megafon padła jakby wojskowa komenda i pociąg ruszył. Ja też. Powoli i taktownie zacząłem przepychać się w stronę wagonu, w którym, wedle zasłyszanych informacji, miał znajdować się bufet, obficie zaopatrzony w piwo i żółty ser. Żeby tam się dostać, musiałem przebrnąć wprzód przez niezadowolonych nie wiedzących z czego i podenerwowaną ciżbę w drugiej klasie. Chłopiec z mojego przedziału miał rację.

W bufecie ścisł był nie mniejszy. Przeważali mężczyźni pijący piwo. Jak się okazało, nie innego do picia nie było. Kupiłem więc dwa i wciągnąłem się w kąt pomiędzy skrzynkami, pełnymi pustych butelek po „pepsi-coli”. Obok, przy stoliku, stał wysoki, grubo, czerwony, o nalanej twa-

rzy, młody mężczyzna. Maciora — skojarzyło mi się. Z półmusem bywałego w świecie półgłówka, mrużąc oczy, opowiadał konduktorowi, który słuchał go w skupieniu, kiwając od czasu do czasu głową, ruchem pełnym zrozumienia.

— Cyrk, panie, to jest cyrk. U nas w cyrku, jak to w cyrku, nigdy nie wiadomo. Dziś tu, jutro tam. Dziś tak, jutro inaczej. Człowiek niczego nie jest pewny. Był u nas kiedyś jeden taki. Młody, dwadzieścia lat miał. Na trapezie skakał. Dobry był, kozak. Raz mu się nie udało. Spadł. Między pierwszy a drugi rząd lawek. Śmierć na miejscu. Z Zar był.

— Zary, koło Zagania — ożywił się konduktor. — Byłem. Piękne miasto — postać jeszcze chwilę, głośno pociągnął nosem i poszedł sprawdzać bilety.

Za oknami przesuwał się monotony, równinny krajobraz.

Pociąg dojeżdżał do celu. Oddałem puste butelki i ustawiłem się w kolejce do wyjścia. Na peronie, wśród wysiadającego tłumu, spostrzegłem chłopca, który po raz pierwszy podróżował pierwszą klasą. Pomachał mi ręką. Przeciśnął się do mnie, spocony i jakby nieco wymiętoszony.

— No, jak podróż, podobala się? — zapytałem.

— Tłok jak w drugiej klasie. Ustąpiłem miejsca starej babci, która nie miała siły stać. Jechałem cały czas na korytarzu. Nogi mnie boją. Ale wie pan, jak będę wracał? — spytał z błyskiem w oczach — którą klasą?

— Chyba pierwszą — nie byłem pewny.

— Tak, ale pociągiem pospiesznym — odrzekł i ruszył zdecydowanie w stronę niewysokiej kobiety, która stała otoczona walizkami i rozglądała się po peronie w poszukiwaniu bagażowego.

W dziejach polsko-niemieckich stosunków literackich lata 1830—1845 mają specjalną wymowę. Zresztą nie tylko w sprawach literackich. Czas powstania listopadowego i okres bezpośrednio po nim następujący — jak nigdy przed, ani potem — był wyrazem niemieckiej ku Polsce sympatii i wyraźnego zbliżenia między obu narodami. Wynikało to z kilku przyczyn. Po pierwsze, w Europie nastąpiła reakcja na absolutystyczne rządy utwierdzone przez Kongres Wiedeński. Po drugie, powstanie listopadowe stało się niezwykle niosącym symbolem walki o wolność narodu, a w dalszej perspektywie o wolność myśli. Po trzecie, pamiętałyśmy o obawie Europy Zachodniej przed militarną siłą i despotyzmem Rosji. „Niewielki kraj, porywający się na pierwszą potęgę świata, musiał wzbudzić współczucie, tym bardziej, że strach przed absolutyzmem rosyjskim kazał upatrywać w porażce Polaków niechybne zagrożenie dla cywilizacji zachodniej” — pisał Piotr Roguski, wyjaśniając przyczyny ogromnego zainteresowania Polską w Niemczech, owego „Polenbegeisterung”, albo „Polenenthusiasmus”.

Pojawienie się tzw. „Polenlieder”, czyli mówiących dosłownie polskich pieśni w literaturze niemieckiej było prostą konsekwencją reakcji na sprawy Polski. Jako swobodny problem niemieckiej opinii publicznej owych lat cytuję się zwykle wypowiedź Marksa i Engelsa, w której późniejsi klasycy przestrzegali, iż nie może być wolnych i demokratycznych Niemiec bez istnienia wolnej i demokratycznej Polski. Pogląd ów podzielał znaczny odłam publicystów i literatów, przy czym nastroje polonofilskie z reguły były bardziej zdecydowane i bardziej widoczne w literaturze. Może również ze względu na masowość zjawiska, Roguski znalazł dowody, iż na polskie walki powstańcze zareagowało twórczo 71 poetów współ-

PÓLTORA WIEKU TEMU

Polacy i Niemcy

czesnych. Poezji towarzyszyły powieści i opowiadania, a także wspomnienia i bezpośrednie niemal doniesienia z pol bitewnych.

W twórczości poświęconej Polsce dominowały dwa typy bohaterów: dzielny wojownik o świętą sprawę wolności oraz — nieco później — szlachetnego emigranta, nie mogącego pogodzić się z klęską („der edle Pole”), tulącego entuzjastycznie przyjmowanego nad Renem. Wiele z tych utworów przetrwało poprzez przekłady w naszej tradycji literackiej, między innymi wiersze Juliusa Mosena, Ludwiga Uhlanda, Augusta von Platen, Karla Herlossohna. Pisane pod bezpośrednim wrażeniem polskich wydarzeń nosiły często charakter odezwy, wyzywały do wytrwania w słusznych działaniach.

„Okazicie się swych wielkich przodków godni, Nadajcie czasem nowy bieg!”

Zainteresowanie Polską wśród pisarzy Między Niemiec było tylko gwałtowne, co i krótkotrwałe. Badacze dopatrują się różnych przyczyn takiego obrotu rzeczy. Po części tylko wypływało ono z autentycznego towarzyszenia polskim sprawom; dla wielu, zwłaszcza młodych, twórców była to jedynie kwestia mody, wypłynięcia na szersze wody poprzez podjęcie aktualnego tematu. Zresztą po jakimś czasie owa fala zachwytu dla Polski i Polaków zniknęła, stopniowo pojawiając się ton przysypany, przestęgi, kpinny oraz wrogości. Te późniejsze reakcje autora „Tulacza polskiego nad Renem” już jednak nie interesują.

Byłoby niedopatrzaniem, gdyby za sprawców rozgłosu polskich spraw w Niemczech uważać tylko publicystów i pisarzy. Niemalą rolę odegrali tu wydawcy, tłumacze literatury polskiej i księgarze. Odnotować też trzeba powstanie na początku lat czterdziestych Katedry Literatury i Języków Słowiańskich na Uniwersytecie Berlińskim (którą objął Wojciech Gębski) oraz podobnej placówki na Uniwersytecie Wrocławskim.

Bogaty materiał zebrany przez autora książki „Tulacz polski nad Renem”, choć z pewnością niekompletny, przeczy także o epizodycznym charakterze ruchu polonofilskiego na terytorium Niemiec w trzecim dziesięcioleciu ubiegłego stulecia. Nie było to zjawisko ani przypadkowe, ani też wyłącznie okolicznościowe, choć oczywiście przebiegające — w znacznej mierze — w kierunku ożywienia nastrojów liberalnych, wystąpienia tendencji demokratycznych, dla przedstawicieli których Polacy stali się na pewien czas żywymi symbolami. W dwa lata po upadku powstania pisał Adam Mickiewicz: „W Niemczech (...) przyjaciel Polaków znaczy toż samo, co przyjaciel wolności”. Jakże odmienne były reakcje w 30 lat później, po upadku powstania styczniowego.

Książka Piotra Roguskiego pokazuje, jak pod wpływem różnych czynników i uwarunkowań zmienił się zdecydowanie na korzyść stereotyp Polaka w mentalności Niemców i jak też polscy uchodźcy nad Renem wytwarzali sobie obraz Niemców „noszących ich na rękach” — jak pisał Maurycy Mochnacki. Dodajmy, iż słowo Ren użyte tu zostało (podobnie jak w książce Roguskiego) na zasadzie pewnego hasła, główny szlak wielkiej emigracji wiodł przecież przez Saksonię, Hesję, Badenię, Palatynat do Francji, kraje niemieckie stanowiły więc zaledwie etap w tulacznej wędrówce.

Zachowaliśmy właściwą optykę: przypływ egzaltacji społecznej w rodzaju niemieckiego „zachwytu polską” były w okresie romantyzmu czymś bardzo zwyczajnym, Polacy nie byli przy tym jedynym narodem ogniskującym wspomniane emocje, nieco wcześniej na przykład zachwycono się walką Serbów czy Greków.

Jakkolwiek by zresztą nie patrzeć — każdy przejaw solidarności z walczącym o wolność narodem godzien jest pamięci i uznania.

TADEUSZ BŁĄŻEJEWSKI

P. Roguski, Tulacz polski nad Renem. Literatura i sprawa polska w Niemczech w latach 1831—1845. Państwowy Instytut Wydawniczy Warszawa 1981, s. 290, nakład 3.000+315 egz., cena zł 90.—

Jerzym Wyszomirskim

Z okazji minionej niedawno dwudziestej siódmej i zbliżającej się trzydziestej rocznicy śmierci Jerzego Wyszomirskiego (popelniał samobójstwo w swym mieszkaniu w Łodzi, w dniu 2 czerwca 1955 roku), Jerzy Wilmański zamieścił w „Głosie Robotniczym” (5.VIII. br.) krótkie wspomnienie o tym znakomitym publicyście pt. „Ocalić od zapomnienia”. Cała notatka Wilmańskiego oparta jest na niewielkim wyborze felietonów Wyszomirskiego ogłoszonym pt. „Spód kreski” przez J. Huszcę i J. Koprowskiego w „Wydawnictwie Łódzkim”. „Dziś jest to pozycja unikalna, ukazała się w 1967 r. w nakładzie... 1500 egzemplarzy” — pisał Wilmański i domaga się jak najszerszego zainteresowania się twórczością Wyszomirskiego. Nie tylko publicystyczną; były przecież także próby powieściowe, dramatyczne, były wydane trzy zbiorki poezji, do których Wilmański nie dotarł, chociaż dwa z nich „Całopalenie” i „Chwila niepokoju” znajdują się w Bibliotece Waryńskiego, i w stronę których kieruje szczególną uwagę krytyków i wydawców.

Zbiorki poezji nigdy, a zwłaszcza w tamtych czasach, nie wychodziły w dużych nakładach i większość z nich stanowi na pewno pozycje unikalne. Taką pozycję stanowi też mała książeczka Wiktora Piotrowicza — „Współcześni poeci wileńscy” — wydana w Wilnie w 1931 roku w nakładzie stu pięćdziesięciu egzemplarzy. Jej sto szósty, numerowany egzemplarz znajduje się w moim posiadaniu. Jerzy Wyszomirski był wtedy właśnie jednym z „współczesnych poetów wileńskich” i książeczka, będąca odbitką wygłoszonych wcześniej prelekcji radiowych, poświęca mu nieco uwagi.

Był poetą wileńskim, który ani jednej strofy nie poświęcił temu miastu. Tam studiował, tam w 1923 r. debiutował i tworzył aż do wybuchu wojny, ale przedmiotem jego zainteresowań poetycznych były sprawy ogólnoludzkie, ocierające się o metafizyczne regiony bytu i śmierci, postrzegające świat jak nie w pełni dające się zrozumieć i wyjaśnić, groteskowe widokowo. Świadczą o tym same tytuły wierszy: „Cyrk”, „Trapez”, „Alkohol”. Na arenie świata ludzie zachowują się jak kłowni, nikt nie jest prawdziwy, alkohol może oddalać, a może zbliżać do prawdy, ukrywać lub demaskować prawdziwe oblicze człowieka.

„Wszystko, co tworzy Wyszomirski — poeta, pochodzi u niego z pesymistycznego widzenia i ujmowania świata — pisał Wiktor Piotrowicz w swej broszurze. — Lubuje się w nastrojach grozy i dramatyczne ujęcie rzeczywistości nadaje ton reprezentacyjny jego twórczości. Widzi sprzeczności nurtujące świat i nie zawsze umie je rozwiązać ku pogodzie ducha. Umie wymownie oddać brutalność życia. Nie w słońcu, lecz w cieniu tworzy”.

Czasem trafiają się w tych wierszach zdania wstrząsające:

„A przejdź proszę Ciebie cicho i żarliwie: pozwól mi choć raz w życiu być bardzo okrutnym:

głodnemu chleb wytrącić z rąk

nielitościwie, brończącemu krwią wydrzeć strzęp ostatni

plótna...”

(„Modlitwa o okrucieństwo”)

Kiedyś indziej są to strofy pełne beznadziej- pokory wobec dziwności świata:

„I szukać, szukać wciąż — radośnie i bezradnie —

w tych wszystkich szepcach, łzach,

podziękach i pośmiejach...

Do dziwnych ludzkich izb zaglądać poprzez szparę,

zrozumieć śmiech i gniew, namietność,

wstyd, obawę...”

(„Szukam”)

Niestety w wielu wierszach trudno się oprzeć wrażeniu, że słowa nie nadążają za poetyckim wzruszeniem autora, nie podchodzą usłusznemu pod pióro; w nagłej potrzebie wyrazu odpowiadającego przeżyciu poeta sięga po terminy, budzące nieufność swym młodopolskim, pseudo — patetycznym podźwiękiem:

— „Rozswawolą się durem w chciwej

duży chciej...”

— „Niech spłoną w ogniu snów i chęć,

w upale mych schorzałych snów...”

— „...me tęskne rojenia...”

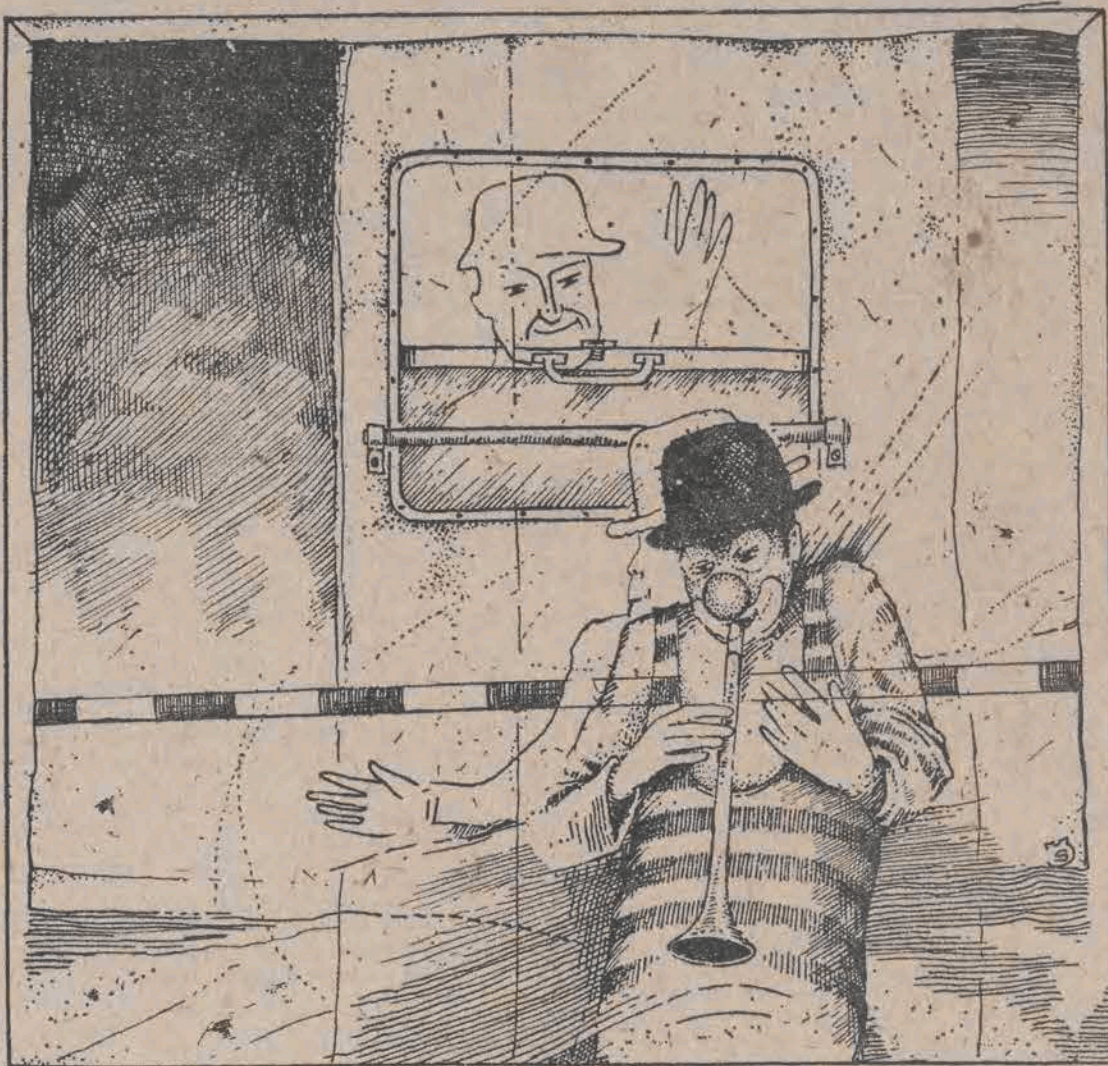
— „...napelniaj KRUZE pragnień...”

Karol Wiktor Zawodziński, koronny krytyk międzywojennej poezji polskiej, powitał pierwszy zbiór wierszy J. Wyszomirskiego w 1923 r. w miarę pochwalnie. Tuż po nim sam tomik z wierszami o sobie apodyktycznie „Siódma woda po kisieli, niewyraźnym, słabym echem Staffa, Tuwima, Wierzyńskiego i innych” („Wiadomości Literackie nr 4 z 1924 r.).

Ani jedna, ani druga z tych ocen niewydała się dostatecznie wyważona. Wśród poezji Wyszomirskiego na pewno znaleźć można parę strof, godnych przypomnienia w jakiejś obszernej antologii okresu międzywojennego. Wznawianie całosci dorobku poetyckiego nie byłoby jednak uzasadnione. Zupełnie inną sprawą jest jego dorobek publicystyczny. Wiele felietonów Wyszomirskiego to prawdziwie rozprawki na aktualne i historyczne tematy kulturalne, polityczne, społeczne. Eseje publikowane w „Wiadomościach Literackich” dają znakomity obraz ówczesnego życia kulturalnego Wilna i chyba nie mają w tym zakresie konkurencji. To samo powiedzieć można o szkicach dotyczących literatury rosyjskiej, którą Wyszomirski świetnie przekładał.

Stanowczo felietonistyka Wysza zasługuje na szerokie przypomnienie, a zbliżająca się trzydziesta rocznica zgonu pisarza byłaby po temu najlepszą okazją.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI



Rys. Janusz Szymański-Glanc

Muzeum Artystyczno – Przemysłowe lub odwrotnie

Dokończenie ze strony 1

go wyrobu. Zmierzające do tego działania uwidaczniają się między innymi w poszerzaniu formuły stałej ekspozycji. Pokazanie kolekcji odzieży i akcesoriów mody z lat 1800 – 1939 jest jednym z tego przejawów. Niestety, CMW cierpi na chorobę wszystkich muzeów – niedostatek powierzchni wystawowej – tutaj dotkliwa szczególnie. Stoi bowiem w magazynach bogactwo maszyn, których pokazanie dалоby pełny obraz przemian we włókiennictwie od zarania epoki do dziś. Szacowna budowla, w której mieści się muzeum, nie jest jednak w stanie utrzymać takiego obciążenia na innej, poza parterową, kondygnacji. Budowana metodą oszczędnościową, w płytkim wykopie, stoi do dziś bardziej mocą cudu, niż praw statyki. I nawet tych wystawionych już maszyn nie można, jakby chciało kierownictwo muzeum, pokazywać w

ruchu. Owszem, robi się to, ale włączając pojedyncze urządzenia i to na krótko, bo geyrowska fabryczka niechybnie złożyłaby się jak domek z kart. Wyjściem z tego impasu powinno stać się przysposobienie dawnej kotłowni (była tam swego czasu najstarsza w Łodzi maszyna parowa) do pomieszczenia ekspozycji przedzięk, krosien itp. Ostatnie ustalenia przewidują, że ekipa PKZ (kotłownia to zabytek) ruszy z pracami 1 września. Piszcie przed pierwszym, więc nie wiem, jaki będzie finał ustaleń. Dotychczasowe doświadczenia nakazują bowiem sceptycyzm. Pierwotne plany zakładały zakończenie robót przy starej kotłowni w kwiecień bieżącego roku. Życzyć by należało, aby tym razem obez szło się bez poślizgów. Muzeum Włókiennictwa, a zwłaszcza część „maszynowa” ekspozycji cieszy się autentycznym zainteresowaniem, ciągle kręcą się tam jacyś zwiedzający z całkiem indywidualnej inicjatywy, a trzeba jeszcze dodać, że placówka ta figuruje, również

faktycznie a nie na papierze, w szkolnych programach przysposobienia zawodowego. Intensywne zabiegi organizacyjne oraz starania o poprawienie warunków prezentacji zbiorów, w niczym nie umniejszają bieżącej działalności wystawienniczej, odnoszącej nawet wrażenie, że ją wręcz pobudzają. Z planów przedstawionych mi przez dyrektora Zawiszę wynotowuję zamierzenia – moim zdaniem – najpełniej obrazujące tę formę poczyną. Z jednej strony przygotowawanie wystaw wyjazdowych w kraju i za granicą (Zduńska Wola, Tomaszów Mazowiecki, Bukareszt), a z drugiej przyjmowanie ekspozycji obcych. Na 22 września zaplanowano otwarcie pokazu współczesnej tkaniny kanadyjskiej. Ekspozycję przyjadą z Sofii i przez Łódź, Toruń, Warszawę wrócą do Kanady. CMW przygotowuje katalog i plakat. Warto jeszcze dodać, że planowany jest pokaz cepeliowskiego dorobku w zakresie kilimiarstwa, gobelinu oraz rekonstrukcji tkackich (w tej dziedzinie mamy

bardzo znaczące osiągnięcia). Interesująco zapowiada się projektowany na 1983 rok cykl wystaw, które by prezentowały ważniejsze kolekcje tkaniny dawnej i współczesnej, gromadzone w zbiorach polskich; przy tego typu inicjatywach, między innymi, realizując się patronacka rola łódzkiej placówki wobec innych gromadzących tkaniny na terenie całego kraju, znajduje swoje pełne potwierdzenie fakt, iż jest to muzeum centralne. A skoro już o tym wspominałem, nie mogę pominąć jeszcze jednego zamysłu, chociaż jego realizacja jest odległa i przez to jeszcze niepewna. Chodzi o monograficzną wystawę poświęconą twórczości pierwszego znanego z nazwiska gobelinnika, działającego w Polsce – Franciszka Glaze'a. Był on Francuzem z pochodzenia, ale tkął przede wszystkim według kartonów współczesnych mu malarzy polskich. Robił to doskonale. Obraz ekspansywności muzeum byłby niepełny, gdyby nie wspomnieliśmy o planach wydaw-

niczych. Jesienią ubiegłego roku złożono w Krajowej Agencji Wydawniczej w Łodzi album pt.: „Polska tkanina artystyczna w zbiorach Centralnego Muzeum Włókiennictwa”. Przed końcem roku pozycja ta znalazła się w planie centralnym. No i czekamy. Chodzi o dobicie się dobrej jakości druku, mówili się więc, żeby to zrobić w Lipsku. Mam nadzieję, w imieniu wszystkich miłośników tkanin, że łodzianie z KAW trzymają rękę na pulsie i w miarę możliwości popychają sprawę do przodu. Bo to nie jest rzecz tylko lokalnego patriotyzmu. Pamiętajmy, że chodzi o Centralne Muzeum Włókiennictwa, placówkę jedyną w kraju, a o takim charakterze – przypomniemy – bodaj czy nie jedyną w świecie. Dobrze by było nie stracić szansy, jaką taki układ daje. Więcej, wykorzystać ją do końca.

KRYSTYNA
NAMYSŁOWSKA

Kronika kulturalna

tunkowe, prezentujące dorobek jednego reżysera...

Z filmów premierowych zobaczmy: „Debiutantkę” – reżyseria Barbara Sass-Zdort, „W obronie własnej” – reżyseria Zbigniew Kamiński, „Baldyna” – reżyseria Ewa i Czesław Petelscy, „Kłameczucha” – reżyseria Anna Sokółowska, „Konopielka” – reżyseria Witold Leszczyński i „Dolina Issy” w reżyserii Tadeusza Konwickiego. Natomiast w pozostałych kinach pokazywane będą bloki filmowe:

Iwanowo – II wojna światowa w filmie. Wolność – Ułubienicy publiczności. Zachęta – Zaczarowany świat baśni.

Gdynia – Polskie filmy muzyczne. Halka – Sylwetka reżysera – Mieczysław Waśkowski. Mi. Gwardia – Z 20-lecia międzywojennego, Muza – Przegląd filmów polskich, 1 Maja – Nowości filmu polskiego. Roma – Sylwetka reżysera – Stanisław Bareja. DKM – II wojna światowa na ekranie. Stoki – Przegląd filmów polskich. Stylowy – Laureaci Gdańskich Festiwalu. Świt – Adaptacje filmowe Henryka Sienkiewicza. Tatry – Nowości filmu polskiego. Oka – Sensacja i przygoda. Energetyk – Filmy dla najmłodszych. Pionier – Filmy dla najmłodszych. Rekord – Cudowny świat przygód. Sojus – Komedie filmowe. Studio – Sylwetka reżysera Jerzy Skolimowski. Polesie – Adaptacje literackie.

Poza pokazami filmowymi w ramach przeglądu zorganizowano także inne imprezy: uroczyste premiery filmów „Konopielka” i „Kłameczucha” połączone ze spotkaniami z realizatorami; plebiscyt z nagrodami na łamach „Głosu Robotniczego” na najlepszy polski film sezonu 1981/82, a także przegląd twórczości Edwarda Sturliśa wspólnie z „Semaforem”.

Portret kobiety we wnętrzu

„Przeciętność nie zainteresuje nikogo” – stwierdziła w jednym z wywiadów autorka „Debiutantki”, jedna z nielicznych u nas kobiet-filmowców – Barbara Sas. Dlatego w jej autorskich (jest jednocześnie scenarzystką i reżyserem) obrazach pojawia się kobieta (za każdym razem Dorota Stalińska), której poglądy, zachowania, postawy, ujawniające się w działaniu, bulwersują świadomość otoczenia.

Ewa jest inna, bez zahamowań i kompleksów, każdym słowem, gestem, czynem gotująca niespodziankę. W „Bez miłości” (pierwszym filmie kinowym B. Sas), jeżeli tego będzie wymagała „sprawa” (wyjazd do Włoch na dziennikarskie stypendium) bez skrupułów pójdzie do łóżka z największą męską szmatą (doskonale uświadomiacie sobie wartość partnera), bądź bezwzględnie i do końca wykorzysta czyjeś nieszczęście (ludzka tragedia „liczy się” tylko wtedy, gdy może stać się przedmiotem „wystrzałowego reportażu”), by dopiąć swego.

Ewa potrafi też – w „Debiutantce” – mieć w sobie tę romantyczną skazę, dającą wiarę, że ludzki mi działaniom kierują nie tylko przyziemne – materialne – szmały – cele, ale i idee, w tym wypadku idea stworzenia nietuzinkowego projektu architektonicznego.

Ewa jest samodzielną, niezależną, bez zobowiązań. To ona rzuci mężczyźnie, gdy uzna, że wykorzystana go w maksymalny sposób, lub gdy stwierdzi, że „kariera”, „perspektywy” stają się dla niego ważniejsze niż zawódowa „czystość”. Umie też kochać – za „twórczą wielkość”, życiową bezkompromisowość, do momentu jednak, gdy nie przekonana się, że to tylko zewnętrzne alibi, skrywające męską pychę i egoizm.

Ewa jest inteligentna, ambitna, niecierpliwa. Chce mieć wszystko od razu, umie dopiąć swego, umie przekonywać, umie walczyć. W nerwowych, obszernych ruchach, dalekich od subtelności i delikatności, gardłowym głosie, energicznym geście zapalania papierosa, dzinsowych spodniach, krótko obciętych włosach potwierdza się jej „ostry” charakter. Silna

kobieta, nie podda się nigdy (?) – losowi, życiu, mężczyźnie.

Portret. Wyrazisty. Kontrowersyjny. Wolny od niakości, miakości większości filmowych (polskich) prób. Tam – kobieta, piękny dodatek, klejnotek, bez twarzy i osobowości (w „Debiutantce” taka jest znowu Jerzego – Bożena), element (tak!) uatrakcyjniający świat męskich konfliktów, spieć, stressów, zwycięstw i porażek. Konsekwentnie wzbogacany z filmu na film.

Portret – będący atutem. Najważniejszym. W ostatnim obrazie, moim zdaniem, jedynym. Pozwalający odkryć, odnaleźć kobietę (pierwsza była przecież Agnieszka Krystyny Jandy w „Człowieku z marmuru”) – partnera w rozmowie o kondycji człowieka naszego tak pogmatwanego czasu teraźniejszego.

Nadszedł już chyba czas na określenie ram ostatniego szkicu do portretu. O „Debiutantce” – jedynym zdaniem: rozgrywający się we wnętrzu nadmorskiej willi, dramat trzech kobiet uwikłanych w uczuciowe i zawodowe związki z fascynującym (?) mężczyzną. Ze enigmatycznością, ogólnie i nic nie mówiąco? Można szerzej, szczegółowiej.

W rozegranym, sierpniową zmianą, Gdańsku zjawia się, jak na wyspie Moralności, Prawdy, Czystości, młoda, zdolna pani architekt – Ewa, rozgorączkowaną, rozczarowaną stosunkami, układanymi istniejącymi w Warszawie. Reżyguje z atrakcyjnego wyjazdu do Francji, na rzecz pracy w zespole wybitnego, nonkonformistycznego architekta Jerzego (Andrzej Łapicki) nad nowym „wspaniałym” projektem Mistrza – Muzeum Morskim. Otwartością, szczerością, talentem zjednuje sobie sympatię (czy tylko?) Jerzego. Otrzymuje propozycję zamieszkania, na czas pracy nad projektem, w jego willi. Wyraża zgodę. Jest zafascynowana, bo zakochana w wielkim architekcie. Tym samym zostaje wciągnięta w skomplikowany system wzajemnych fascynacji i nienawiści, leków i pragnień, oczekiwań i spełnień łączących Mistrza z dwoma mieszkającymi już w domu kobietami –

żoną Bożeną (Bożena Adamek) i długoletnią asystentką Marią (Elżbieta Czyżewska).

Przystępuje do bezwzględnej, okrutnej gry, prowadzącej do zatacenia. Siebie. Swoje osobowości. W egoizmie i erotyzmie Mistrza. Ma alibi. Najważniejszy jest projekt i jego realizacja. Bez jej energii, pewności i przebojowości, a przede wszystkim wiary połączonej z miłością całe przedsięwzięcie czekałoby niechybna, sromotna klęska. Kiedy cel zostaje osiągnięty znajduje w sobie dość siły, żeby się zbuntować, żeby zbuntować pozostałe kobiety i spróbować odejść. One nie potrafią podjąć wyzwania. Wrócą. Ona jest zbyt inteligentna i uwrażliwiona na ludzką małość i fałsz (wpływ czasów, w których przyszło jej działać) i dlatego wsiądzie do pociągu jadącego do Warszawy.

Barbara Sas w jednym z wywiadów: „Kino fabularne nie może być nudne (...). Trzeba więc stworzyć takie sytuacje, które widza zaintrygują, zbudować postacie wielowymiarowe, zostawić niedomówienia i marginesy na komentarz własny odbiorcy. Trzeba go poruszyć, rozbawić czy rozczłowieczyć, w każdym razie spowodować jego reakcję”.

Niestety, moim zdaniem tym razem się nie udało. Była szansa na kameralny dramat uczuć. Niewykrytą. Ostał się jedynie wyrazisty wizerunek wymagający współczesnej kobiety. Dlaczego tylko tyle? Coż, pozostałe postacie daleko nie przystają do wewnętrznej skomplikowania sylwetki Ewy. Jerzy jest co najwyżej „salonowym lwem”, Bożena – słodka idiotka, a Maria – historyczka. W wydumanym, sztucznym świecie „papierowych” ludzi, trudno o zmuszający do przemyśleń, dramat, nawet jeśli trafi się w nim na jednego żywego człowieka.

PAWEŁ STRZELECKI

P.S. Przy okazji prostuję drobny błąd. Oczywiście JANUSZ, a nie Jerzy KŁOWSKI.

Kompozytorzy czyli z kim współpracuję?

Dzisiejszy odcinek „powieści” wiąże się bezpośrednio ze sprawami poruszonymi przeze mnie na tych łamach poprzednio, spotkałem się mianowicie z zarzutem, że świadomie – pisząc o swoich piosenkach – pomijam nazwiska kompozytorów, aby cały splendor spadał na mnie. Istotnie, jak dotąd wymieniałem w kontekście współpracy jedynie Krystynę Kwiatkowską, kompozytorkę utworu „Zwykły list, choć wiersz” (w drukarni raz napisano ten tytuł poprawnie, a za drugim razem był to już „Zwykły list, choć wiersz”), ale robiłem to raczej dla przejrzystości wywodu. Zresztą nazwiska współpracowników tak czy inaczej przewijały się w felietonach. Aby zatem uniknąć podejrzenia – dziś o kolegach kompozytorach.

Mysle, że takich z nich jest dostatecznie dobrze znanych szerokiej ogółowi i nie trzeba ich osobno przedstawiać. Seweryna Krajewskiego pokazałem na zdjęciu, kiedy śpiewa „Jeszcze dzień, najwyżej dwa...”, na fotografii widoczny był również, wraz ze swą grupą „Happy End”, Zbigniew Nowak, współtwórca przebojów „Szczęśliwy finał” i „Tak, jest świat”. Wspominałem też o dyryktorze Orkiestry Rzyrkowej PRITV w Katowicach – Jerzym Milanie, z którym zdarzyło mi się napisać kilkanaście piosenek, głównie dla Kazimierza Kowalskiego, a wśród nich: „Słowańska dusza”, „Magistra sztuki”, „Kochać operę” wymieniane tutaj wcześniej. Rekomendacji nie wymagają

też nazwiska Krzysztofa Krawczyka i Ryszarda Poznakowskiego, z którymi utrzymywałem artystyczny kontakt także dzięki wspólnym występom na estradzie. Oni właśnie w spółce są twórcami muzyki do mojego tekstu pt. „Ulica Zwykłych Spraw” nagrałego przez Krawczyka na płycie.

Tymczasem często zapominają słuchacze o tym, że młoda i utalentowana piosenkarka Renata Danel próbuje także swych sił w komponowaniu piosenek mając na koncie niejakie sukcesy. Jeśli chodzi o naszą współpracę w sensie pisania utworów rozrywkowych, to jej efektem było kilka sympatycznych piosenek w wykonaniu kompozytorki (największą popularność zdobyła sobie „Miłość jak mydłana bańka”) i dwie czy trzy przeznaczone dla innych wykonawców (tu dało się zapamiętać interpretowane przez Ewę Snieżankę „Świat się na tym nie kończy”, co musiałem – jak już wspominałem – zarejestrować w ZAKS-ie jako „Zanim tydzień przeminie”). Właśnie Renata Danel jest współkompozytorką jednej z moich piosenek, która darzę szczególnym sentymentem. Jej tytuł: „Wszystko w jednym słowie” – i był to bodaj najciekawszy utwór z repertuaru Renaty zdaniem wielu słuchaczy.

Drugim współkompozytorem tej piosenki jest Adam Hetman (to nazwisko jest pseudonimem, ale zrósł się on z osobą Adasia przez ostatnie dziesięć lat do tego stopnia, że nie muszę używać prawdziwego

nazwiska). Ten mój rówieśnik pochodzi z Warszawy i tam ukończył wyższe studia muzyczne; jest więc – jeśli można tak powiedzieć, bo przecież ilczy się talent i inwencja – kompozytorem z wykształcenia. Napisał muzykę do sporej ilości popularnych piosenek, a prawdziwym szlagierem stała się piosenka „Był taki walc” w wykonaniu Ewy Snieżanki. „Wszystko w jednym słowie” to nasz drugi wspólny utwór. Nasza współpraca rozpoczęła się bowiem od napisania „Marsza bliskiego sercu”, który w 1978 roku uhonorowany został główną nagrodą na festiwalu kołobrzeskim. Zresztą Adam Hetman jest od lat związany z żołnierską piosenką; na festiwalach w Kołobrzegu zdobywał liczne wyróżnienia, był też nagradzany w wewnętrznych konkursach GZP WP, jest jednym z najaktywniejszych działaczy istniejącego przy ZAKR-ze Klubu Twórców Estrady Wojskowej. Do niedawna był Adam Hetman kierownikiem muzycznym zespołu „Desant”, który przed rokiem na Festiwalu Piosenki Żołnierskiej zrobił prawdziwą furorę a i w tym roku potwierdził wysoki poziom, zaś od kilku miesięcy jest kierownikiem muzycznym Zespołu Estradowego Wojsk Ochrony Pogranicza „Granica”. Inne piosenki, które napisał, to: „Marszem przez Polskę” (utwór-hasło audycji radiowej), „Pusto w sercu” i „Był czymś nie przejmuję się” nagrane przez Renatę Danel oraz „Polski marsz” wykony-

wany przez Ryszarda Arninga. Mam nadzieję, że na tym nie koniec.

Kolejnym kompozytorem, z którym współpracuję dość ściśle i dość często od ładnych paru lat jest łodzianin Jacek Malinowski. Znamy chyba telewidzom jako muzyk-solista (fortepian i inne instrumenty klawiszowe) dwóch orkiestr – łódzkiej i poznańskiej – radiowych, Jacek cieszy się też sławą wyśmienitego aranżera. Jest absolwentem Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej w Łodzi. Uprawia też z powodzeniem twórczość li tylko instrumentalną pisząc utwory głównie na duże składy. Zdobył wiele nagród i wyróżnień festiwalowych, szczególnie w tej mierze powodzeniem cieszą się jego aranżacje. W poprzednich felietonach wymieniałem dwie piosenki z muzyką Jacka Malinowskiego: „Gwiazda nocy wigilijnej” nagrana na płytę długogrającą ze współczesnymi pastorałkami przez Irenę Jarocką i „Poborowy” w festiwalowym wykonaniu Jacka Lecha na ostatnim „Kołobrzegu”. Ale napisaliśmy z Jackiem tych piosenek daleko więcej, np. „Jak wielki dzwon” Ilony Wiczeorek, „Na chybli-traffic” Haliny Kunickiej, „Od paru chwil” Andrzejka Tenarda, „Kołobrzeka sanitariuszka” Maryli Lerch czy „Życiem bawie się” Lidii Stanisławskiej. Ten ostatni tytuł to też moja ulubiona pozycja. Natomiast najwięcej wykonawców miał, gdyż chodzi o moje z Malinowskim piosenki, „Mój azy!”: najpierw w radiowym

plebiscycie uczestniczyła z tą piosenką nie istniejąca już łódzka grupa „Bang”, później w wersji instrumentalnej znalazła się ona na kasecie Orkiestry PRITV pod dyrykcją Henryka Debicha, wreszcie dwa lata temu nagrała ją na swoim longplay’u Ewa Kuklińska. Kto następny?

Skrupulatnie obliczając tytuły własnych piosenek wymienionych przeze mnie na tych łamach w ciągu kilkunastu ostatnich tygodni nie mogę pominąć jeszcze kilku kompozytorów, by się nie obrażili. I tak dwa utwory są dziełem spółek kompozytorskich; piosenkę z repertuaru „Waweli” zatytułowaną „Moja Wenus” skomponowali Jan Wojdak i Andrzej Zygierewicz, zaś „Podaj mi swój adres” w wykonaniu zespołu „Tragaf” – Jęgo członkowie: Leon Adamiak i Piotr Smiejczak. Piosenkę wykonywaną przez Iwonę Niedzielską i „Arian” pt. „Usmiechnij się jeszcze raz”, która nieśmiało wchodzi aktualnie na radiową antenę, napisał ze mną Jerzy Lichacz.

Pisałem też parę tygodni temu o tym, że piosenka „Modlitwa wieczorna” miała swoją premierę podczas festiwalu opolskiego w 1974 roku. Choć dzisiaj mało kto ją pamięta, muszę zaznaczyć, iż kompozytorem jej był wieloletni szef zespołu „No To Co” – Jerzy Krzemiński, z którym zresztą napisaliśmy później jeszcze kilka innych utworów. Obecnie Jurek pracuje jako solista-wokalista, a najbardziej znana z anteny jego solowa propo-

ycja – „Płomień ptak prawda” – jest także naszym wspólnym dziełem.

Oczywiście, wymienieni wyżej nie są moimi wyłącznymi współpracownikami w zakresie pisania piosenek. Jest ich daleko więcej – choćby: Andrzej Zieliński, Bernard Sołtyś, Sławek Kowalewski, Jerzy Król, Andrzej Marko, Jerzy Górąj i inni. Na kasecie czeka nagrana roboczo przez Wojtkę Trzcińskiego melodia, do której mam napisać tekst, tymczasem w szufladzie biurka u Janusza Kruka dwa moje gotowe teksty domagają się muzyki. Wszystko wskazuje na to, że współpracowników będzie siłą rzeczy przybywało.

A ja chcę wspomnieć o jeszcze jednym. Swego czasu napisałem tekst, do którego muzykę skomponował aranżer i pianista – Juliusz Wacławski, a piosenkę nagrała dla radia Urszula Solarek. Nagranie, dokonane w Łodzi, zostało zakupione przez Warszawę, ale równocześnie zakazano prezentowania go na antenie. Dlaczego? Tytuł mówił sam za siebie: „Coś w powietrzu wisi”. A było to niespełna trzy miesiące przed pamiętnym sierpniem 1980 roku.

I tą anegdotą kończę dzisiejszy, niemal całkowicie informacyjny (ale tak wyszło) felieton.

KRZYSZTOF
DRZEWIECKI

W kręgu fantastyki

Wyjechaliśmy z miasta. Już świtało. W samochodzie było ciepło i przytulnie. Chciało mi się spać. Polewaczka obiała nas strumieniem wody i teraz krople ściekały po szybach.

— Zwariowałem, co? — spytał taksówkarz.

— Nie, po prostu dobry z pana człowiek.

— Nie jestem dobry. I dlatego twój zegarek zatrzymam jako zastaw...

Zapaliło się czerwone światło. Staliśmy na całkiem pustym skrzyżowaniu, a światło nie chciało się zmienić.

— Do którego domu w Mokwi ci trzeba? Znam tam wszystkich.

— Ostatni dom na ulicy. — powiedziałem. — Cały w dzikim winie, i róże. U nikogo więcej w Mokwi nie ma róż.

— Trzeba było tak od razu. Tam mieszka kulawy Bagrat. Ty do niego?

„Obiecałem ojcu — powiedział Rezo — że postaram się znaleźć. Sam w to nie wierzę, ale on bardzo wierzy. Przywiozłem do niego profesora, który powiedział, że w żaden sposób nie można pomóc. Mam starego ojca i on wierzy w to. Mówi, że przodkowie też wierzyli. Znalł wejście do pieczary. Przed

KIRYL BUŁYCZOW

Pierwsza warstwa pamięci

Groźne i niespodziewane trzęsienie ziemi zaskoczyło w podziemnej jaskini grupę speleologów — są prawdopodobnie zasypani, lecz jednego z nich znaleziono w stanie szoku przy szosie, kilkadziesiąt kilometrów od miasta. Narrator — Giwi — przy pomocy złożonej maszyny usiłuje niejako „wchłoniąć” w siebie wspomnienia nieprzytomnego Beso, który przecież jakoś

rewolucją jeden kniaź przyjechał, tysiąc rubli złotem obiecywał”.

Z kieszeni dzinsów wyciągnąłem plastikowy pojemnik, wyjąłem z niego kawałek gazety. Były w nią zawinięte kawałeczki żółtej żywicy podobnej do bursztynu. W dotyku były jak namydło, lekkie i rozkładały słodkawy, woskowy zapach.

— Co tam masz? — spytał kierowca. — Pszczoły hodujesz?

— Nie, to lekarstwo — odparłem.

Szofer nacisnął hamulec. Ledwo zdążyłem przytrzymać kawałeczki żywicy. Samochód zjechał na pobocze.

— Słuchaj, gdzie to znalazłeś?

— W jaskini.

— Zgadza się — ucieszył się szofer. — Górski balsam. Leczy wszystkie choroby, tak?

— Starzy ludzie w to wierzą.

— Jesteś synem starego Bagrata? Czegoś nie powiedział wcześniej?

— Nie jestem jego synem. Syn prosił, żeby dostarczyć.

Gdy moja matka umierała, prosiła, żeby jej przynieść balsamu. A skąd go wziąć? Teraz całe góry są już zbadane, a współcześni nie znają miejsc, gdzie występował. I medycyna nie wierzy. „Nie udowodnione” — mówią.

— Potrzebny panu? — spytałem.

— A na co mi? Zdrowy jestem. Jak myślisz, pomoże?

— Nie wiem. Bardzo ważne jest, żeby chory wierzył w skuteczność lekarstwa.

— Słusznie. Mnie na wszystkie dolegliwości najlepiej pomaga aspiryna.

Znow ruszyliśmy w drogę. Po dwóch kilometrach zjechaliśmy z szosy na polną drogę. Niebieski drogowy pokazywał: „Mokwi — 4 km”.

Stary dom był opleciony dzikim winem. Za plotem w poranym chłodzie kulły się krzaki. Róż jeszcze nie było, za wcześnie na róże. Rezo widocznie zapomniał, że róże nie kwitną w kwietniu. Psiak podniósł poszarpane ucho, podbiegł do furtki i wywijając ogonem dopraszał się pieczęty.

— Dziękuję — powiedziałem do kierowcy. — Zapamiętałem pański numer. Proszę się nie martwić. Jutro pana znajdę.

— Jutro nie pracuję — odparł szofer i wyjął z kieszeni zegarek. — Weź. Od razu trzeba było mówić, o co ci chodzi.

— Na razie niech pan zatrzyma zegarek.

— Co ty sobie wyobrażasz, że ja cię za jakieś parszywe pieniądze wiozę?

— Może podzielić się z panem balsamem?

— Na co mi? Moja matka już umiała. A ja jestem zdrowy.

Pchnąłem furtkę. Szczeniak ufnie odsunął się na bok, po czym pobiegł przede mną w stronę werandy. Pędy winorośli zwieszały się nad ścieżką.

„W zupełnej ciemności usłyszałem głos Tejmura — „Rezo, czy masz zapasowy reflektor?” W chwili, gdy zaczął się obwał, siedzieliśmy przy naszym długim, kamiennym stole i czekaliśmy, aż doktor — wtedy był jego dyżur — poda zaup. Dopiero co umyliśmy się w podziemnym strumieniu, ułożyliśmy w rogu, obok radiostacji kaski i gumowe ubrania. Byliśmy zmęczeni, gdyż udało nam się przejść tego dnia zdradliwy, trudny syfon. Siedzieliśmy przy stole i było wesoło, wszystko układało się dobrze. Dalej będzie jeszcze jedna sala, zdaje się spory. I zaczął się obwał. W twarz uderzyło twarde chłodne powietrze...”

Zatrzymałem się na werandzie. W domu było cicho. Był stąd widoczne drzewa uchodzące ku rzecze — stado, które rozbiegało się po całkiem zielonej, młodej trawie zbocza pachniało dymem. Rzeka przesłonięta była oparami mgły. Na ulicy skrzypiała arba. Było już całkiem jasno.

Drobniotka staruszka w czarnej długiej do ziemi spodnicy i w chustce na głowie wyjrzała przez drzwi. W rękę trzymała wiadro.

Przywitałem się.

— Ty do Bagrata, synku? — spytała staruszka, wcale nie dziwiąc się wczesnemu gościowi. — Wejdz, on już się obudził.

Bagrat okazał się potężnym, biblijnym niemal starcem. Sze-

rok, stare łóżko z błyszczącymi gałkami u wezgiłowia było dla niego za ciasne. Dziadek, co było widoczne, chorował od dawna. Wysechła, skóra na twarzy i karku wydawała się bardzo ciemna, szczególnie w kontraście z żółtawą brodą i długimi pasmami białych włosów. Tylko niebieskie oczy zachowały czystość barwy. Staruszek podniósł szeroką dłoń, jakby wyrzeźbioną ze starego drewna.

— Co z Rezo? — spytał.

Patrzył na mnie tak, jakbym stał daleko, daleko na stoku wzgórz. Jakbym był gońcem przynoszącym wieści o tym, że spłonęła osada w sąsiedniej dolinie lub że car musiał uchodzić ze stolicy. On wiedział, że ode mnie nie można oczekiwać dobrych wiadomości, jak nie można ich oczekiwać od posłańców przeznaczenia i zawczasu był gotów znieść jeszcze jeden cios, w które tak szczerze jest długie życie, ale ulegać przed losem nie miał zamiaru.

— Rezo żyje i jest zdrow.

— Kiedy go widziałeś?

— Wczoraj.

— A dlaczego Rezo sam nie przyszedł?

musiał jaskinię opuścić.

Na polu świadomie wykrada się z instytutu, wkłada na siebie ubranie speleologa i — wciąż słysząc jakby głos nieznanego sobie Rezo — usiłuje dojechać do wsi Mokwi. Mimo iż nie ma pieniędzy, przypadkowy taksówkarz, który zna tę wieś, decyduje się mu pomóc.

— On został tam, by dalej pracować. Moja zmiana się skończyła.

— A dlaczego jesteś taki ubrudzony? Co z twoją głową? Jesteś chory?

Staruszka przyniosła tacę z pokrojonym serem, placzkami i karafką z różnego szkła napełnioną białym winem.

— Podaś tu stół — zwrócił się do mnie dziadek. — Zjemy śniadanie.

Zrobiłem jak kazał.

— Jak ci na imię? — spytał.

— Giwi.

— Nie słyszałem, żeby mój Rezo miał kolegę o imieniu Giwi.

— Jestem od niedawna w ekspedycji.

— Kłamiesz — powiedział starzec, nie potępiając mnie jednak. Po prostu stwierdził smutny fakt. Potem dodał: — Lekarz zabronił mi pić wino. Zwłaszcza rano. Ale nie słucham lekarzy.

— Rezo prosił mnie, żebym przywiózł panu górski balsam — powiedziałem wyciągając pakiet. Było mi to po drodze, więc przywiozłem.

Rozwinałem gazetę i wyciągnąłem w kierunku dziadka kawałeczki żywicy. Gdyby na moim miejscu był Giwi, na pewno właściwie oceniłby podniosłość chwili. Ale przecież ja jestem Giwi! A może jestem Beso?

— Dziękuję synku — powiedział ze wzruszeniem staruszek. Powąchał bryłkę. — To prawdziwy górski balsam. Rezo już drugi rok szuka go dla mnie. Dziękuję, że nie pożalowałeś swojego czasu i przywiozłeś staremu lekarstwu. Gdy ma się dużo lat i widzi się bezsilność lekarzy, przychodzi wierzyć w środki, którymi posługiwali się przodkowie. Gdy zobaczysz Rezo, przekaż mu, że ojciec jest wdzięczny i że postara się stanąć na nogi na jego przybycie. A prędko Rezo wróci?

Dziadek nie wierzył mi, ale był zadowolony.

— Myślę, że wkrótce. Za dzień lub dwa już tu będzie.

W tym momencie zrozumiałem, że wpadłem. Nie wolno było tego mówić. Staruszek lepiej ode mnie wiedział, że Rezo powinien pracować pod ziemią jeszcze co najmniej dwa tygodnie. Powinienem być przedtem zwrócić uwagę na ścienny kalendarz wiszący nad łóżkiem. Kwiecień był obwieszony czerwonym ołówkiem i dni od numeru drugiego do siedemnastego były powykreslane.

— Opowiedz mi całą prawdę.

Opowiedziałem mu, że ekspedycję zasypało pod ziemią. Wszyscy są żywi, ale człowiek, który wydostał się na górę jest chory i nie może pokazać, którędy się wydostał. On jest w szpitalu, więc prosił mnie, żeby odwiedzić balsam.

Starzec słuchał w milczeniu, nie przerywając. Zamknął oczy i był zupełnie nieruchomy. Zdawało się, że nawet nie oddycha.

— Znam wejście, którym oni zeszli na dół — powiedział, kiedy skończyłem swoje półprawdziwe opowiadanie. — A jak daleko oni doszli w tym roku? W którym miejscu ich opuścił Beso? Nie wiesz?

Wyobraziłem sobie jaskinię, tak jak była narysowana na planie u Tejmura. Doskonałe pamiętam plan — obwiedzione tużem części zbadane w zeszłym roku i ołówkowe zarysy korytarzy tegorocznych.

Obwał zastał ich na bazie, w sali, gdzie stała radiostacja. To około czterech kilometrów od głównego wejścia. Obwał zasypał część sali, gdzie złożone było wyposażenie. Kiedy wreszcie znaleźli latarę i obejrzel zawał, okazało się, że nie uda im się przebić do wejścia. Przenieśli się do sąsiedniej komory, a Tejmur posłał Beso i jeszcze jednego człowieka, aby poszukali drogi na górę. Był tam jeden chodnik, którego wcześniej nie spenetrowali... dali im latarę i oni poszli.

— W którą stronę biegł ten chodnik?

Wyobraziłem sobie korytarz, zwięzający się niemal do rozmiarów króliczej nory. Kiedy trzeba wchodzić się między skały i nie wiesz — rozszerzy się gdzieś dalej czy będzie trzeba pełzać z powrotem.

— Kierował się na wschód.

— I daleko oni doszli?

— Nie, wrócili po akwaling. Tam była jeszcze jedna komora, ale wyjście z niej było pod wodą.

— I dalej Beso poszedł sam?

— Tak, poszedł sam. Został im tylko jeden akwaling. Poza tym z rannymi i tak nie mogliby się tamtejszą przedostać. A Beso to przecież alpinista.

— Dlaczego mi powiedziałeś, że masz na imię Giwi i pracujesz w szpitalu? Ty przecież tam byłeś, i wyszedłeś na górę?

— Zapewniam pana, że mówię prawdę. Beso leży w szpitalu.

— Dziwne mi się to wydaje. Zdajesz się być dobrym człowiekiem, ale cały czas coś kręcisz. Jeśli jesteś Beso, to dlaczego przyjechałeś tu, a nie przywoźłeś ludzi do miejsca, gdzie wydostałeś się na powierzchnię i nie pokazałeś im drogi? Jeśli jesteś Giwi, to w jaki sposób Beso mógł ci opowiedzieć jak mnie szukać, a nie mógł powiedzieć, którędy się wydostał?

— On bardzo źle się czuje. Zapomniał.

Dziadek westchnął. Nie miał siły dłużej ze mną wojować.

— Jeśli pójść od wsi w górę trzy kilometry — powiedział — tam jest szczelina w zboczu góry. Nie wchodziłem, ale myślę, że stamtąd przypuszczalnie można przejść pod ziemią do tego miejsca. Pośle z tobą Georgija. To zreczny chłopak. On zna tu wszystkie dziury.

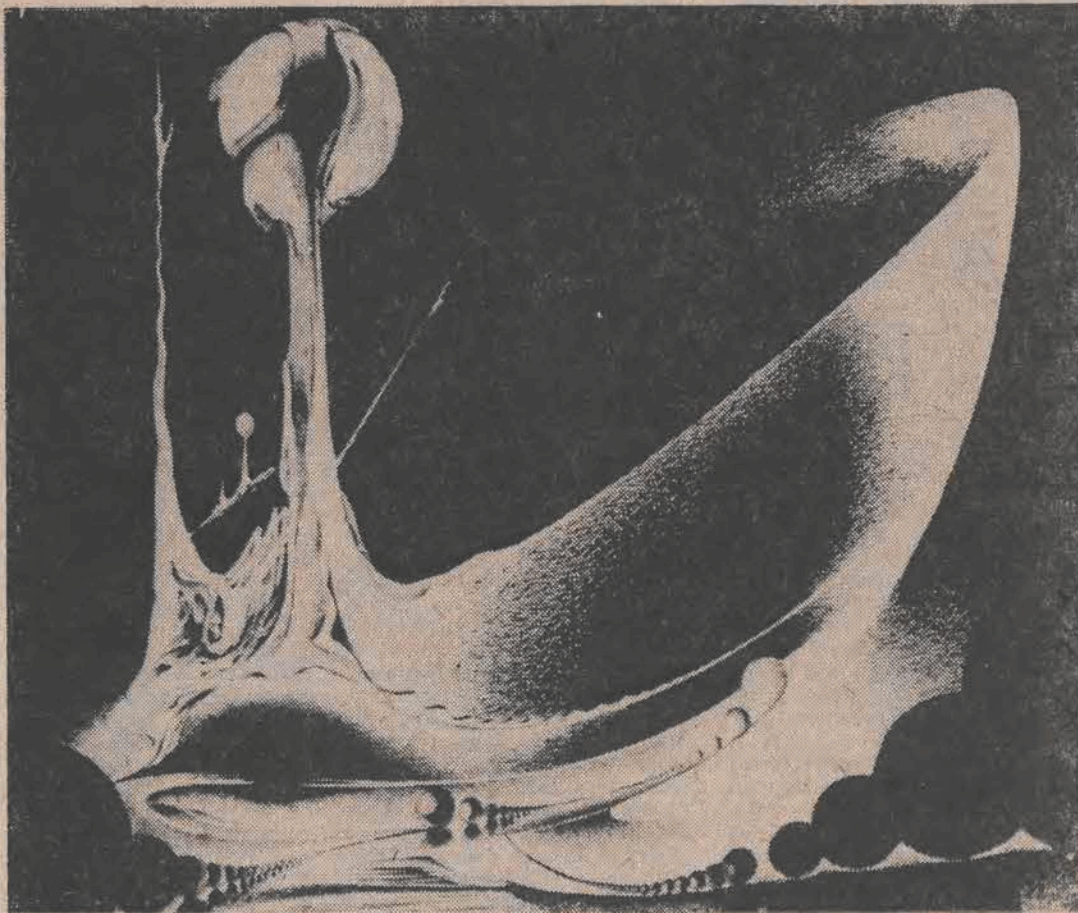
Za drzwiami skrzypnęły deski werandy. Dziadek lekko się uśmiechnął.

— Ona już pobiegła — powiedział. — Słuchała pod drzwiami. Teraz go obudzi i przyprowadzi.

„Wynurzyłem się z lodowatego strumienia. Bałem się, że zatrzyma mi się serce. Przecież nie miałem stroju do nurkowania, a jedynie aparat tlenowy. Podskoczyłem kilka razy, żeby się rozgrzać. Powietrze po wyjściu z wody, wydawało się ciepłe, ale było to ciepło pozorne. Jak oni się czują teraz w jaskini bez latarki? Kiedy odchodziłem, śpiewali piosenkę. Na cztery głosy, ładnie śpiewali. No nic, jak wydam się na powierzchnię, to się ogrzeję. Wybrałem korytarz, który prowadził bardziej w górę od innych, na wschód...”

Deski werandy zaskrzypiały ostro. W drzwiach stanął niewysoki chłopak w wojskowych spodniach i niebieskiej koszuli.

— Wołaliście mnie, dziadku Bagrat?



Twórcą tych interesujących rysunków jest... młody matematyk, pracownik uniwersytetu moskiewskiego, Anatol Fomienko. Od lat interesuje się fantastyką naukową, napisał nawet powieść „Tajemnica Drogi Mlecznej”. Swe zainteresowanie u-miejętnie łączy z główną treścią swego życia — matematyką. Jest on autorem wielu prac z ogromnie ważnej dziedziny matematyki — topologii i jednocześnie ich ilustratorem. Stworzył cały cykl graficznych obrazów ułatwiających zrozumienie matematycznego świata. Ale nie tylko matematyka jest polem do jego artystycznych popisów. W jego pracowni powstały także ilustracje do różnych powieści, m. in. do „Mistrza i Małgorzaty” Bułhakowa oraz kompozycje graficzne pod tytułem „Znak Zodiaku”. N/ż: Ilustracja do książki A. Fomienki z dziedziny topologii.

— Dzień dobry Gogi. Potrzebna mi twoja pomoc. Możesz zaprowadzić naszego gościa do szczeliny w górnym wąwozie?

— Teraz?

— To bardzo pilna sprawa. On ci wyjaśni po drodze. Weźcie linę i haki. Tam pod ziemią są ludzie. Trzeba im pomóc.

— Dobrze, dziadku Bagrat.

— I weźcie placzków i wody. Może będziecie musieli długo iść.

Pomyślałem, że mnie, Giwiemu, myśl o zejściu do jakiejś ciasnej jaskini, nawet w towarzystwie speleologów, byłaby straszna. Beso tego nie bał się. Ja również się nie bałem.

— Będzie czekał — powiedział dziadek.

Staruszka stała na werandzie. Podala mi zwój mocnej liny, torbę z placzkami i butelkę. Przeczętna mnie i stała na werandzie, dopóki nie zniknęliśmy jej z oczu. Psiak odprowadził nas do furtki i uprzejmie szepnął na pożegnanie.

— Poczta otwarta? — spytałem. — Potrzebny mi telefon.

— Zamknięta. A telefon jest u Lewana. To właśnie jego dom.

Georgij wyprowadził mnie i widocznie w jednym zdaniu potrafił przedstawić całą powagę sytuacji. Kiedy wszedłem do pokoju, gospodarz w marynarce włożonej na piżamę krótko się ze mną przywitał, pokazał telefon i od razu wyszedł z pokoju. Georgij wziął ode mnie linę i torbę i również wychodząc powiedział:

— Dzwoni się przez ósemkę.

Zadzwoniłem do Instytutu. Na dół, do rejestracji. Nikt nie odbierał. Zupełnie zapomnieli. Że jeszcze nie ma siódmej, a w mieście wstaje się o wiele później niż w Mokwi. Zadzwoniłem na górę do operacyjnej. Niemożliwe, żeby nasi wyszli, tym bardziej po moim tajemniczym zniknięciu.

Słuchawkę podniesiono od razu. To była Natalia. Spytałem basem:

— Jak samopoczucie chorego Beso Guramiszwilli?

— A kto mówi?

— Jego wujek.

Gdyby mnie rozpoznała po głosie, zaraz zaczęłoby się wypytywanie.

— Beso ma się lepiej, ale jeszcze nie odzyskał przytomności. To nie ty, Giwi?

— Tak, to ja. Ale nie mam teraz czasu. Potem zadzwonię.

I od razu odłożyłem słuchawkę.

Georgij z Lewanem czekali na mnie.

— On pójdzie z nami — powiedział Georgij.

Ruszyliśmy w kierunku gór. Z drogi skręciliśmy na ścieżkę i zaczęliśmy się wspinać. Moi towarzysze szli szybko. Słońce zaczęło przybierać. Czuję jak łomocze mi serce. To od siedzącego trybu życia. Trzeba będzie co dzień rano robić gimnastykę.

„Zmusiłem się do oparcia się na lokciach. Tam skąd dopiero co zszedłem świeciła wieczorna gwiazda. Ona znajdowała się dokładnie w centrum otworu i chociaż wiedziałem, że wkrótce dotrę do niego, gwiazda była czymś niosącym nadzieję, czymś należącego do jasnego świata powierzchni. Usiadłem. Było mi trudno oddychać. Ile godzin się tu przedzierałem? dziesięć, sto? Na pewno na kilka minut straciłem przytomność, bo gdy znowu otworzyłem oczy, gwiazda przesunęła się do brzegu szczeliny. Zaraz odetchnę i zacznę wszystko od nowa...”

— Zostały jeszcze dwa kilometry — powiedział Georgij.

Daleko w dole pobłyskując w słońcu wila się droga. Gdzieś tam znalazł Beso...

„Nie, znaleźli mnie dalej. Leżałem na ziemi, było zimno. Był późny wieczór. Nie mogłem podnieść głowy, żeby popatrzeć na tę gwiazdę i powiedzieć jej „dziękuję”. Droga była zupełnie blisko. Przejechał samochód, ale nie miałem siły, żeby krzyknąć. Próbowałem spełnić po stoku w dół. Ręce nie chciały mnie słuchać. Sweter był mokry albo od wody, albo od mojej krwi. Wiedziałem, że gdy spełnę po skarpie ku drodze, zauważą mnie i po moim śladzie na ośpisku znajdą szczelinę w zboczu. Po drugiej stronie drogi, dokładnie naprzeciw, rośło drzewo z dwoma wierzchołkami. A jeszcze lepiej, jeśli zjadę z ośpiska i potoczę się w dół jak kloć. Tylko nie wolno zgubić pakietu Rezo. W żadnym wypadku nie zgubić. Tam jest balsam dla jego ojca... We wsi Mokwi, ostatni dom i tam na mnie czekają. Potoczyłem się po skarpie, a kamienie, które wyrzuciłem z ziemi, leciały wraz ze mną i były we mnie kulami...”

— Stójcie — powiedziałem.

— Zmęczyl się pan? — spytał Georgij.

— Znasz te miejsca? W dole, przy drodze?

— Tak.

— Tam jest wielkie drzewo z dwoma wierzchołkami. Jedno drzewo.

Zamyslił się.

— Może przy zakręcie?

— Nie, tam są dwa drzewa... Chociaż...?

— Oczywiście. Oczywiście, tylko jedno!

— Georgij, biegnij z powrotem do wsi i zadzwoni pod ten telefon. Niech weźmą samochód i przyjeżdżają tam, gdzie znaleźli Beso Guramiszwilli. Koło drzewa z podwójnym wierzchołkiem. Tam jest serpentina i on stoczył się na zakręt poniżej. Dlatego nie znaleźli wejścia. A ty, Lewan, zaprowadzisz mnie tam. Tylko nie biegnij, zmęczylem się.

— A dlaczego pan wcześniej tego nie powiedział?

Odpowiedziałem zgodnie z najlepszymi tradycjami Beso — serio i w miarę możliwości wyczerpująco:

— Nie mogłem sobie wcześniej przypomnieć. To była druga warstwa pamięci. Na wierzchu było to, co niepokoiło Beso zanim stracił przytomność i ja przypominałem sobie o dziadku Bagracie.

— Przypomniał sobie pan?

— Dobrze, raczej razem sobie przypomnieliśmy.

A swoją drogą, szybciej mogłoby się rozchodzić to diabelstwo. Beso wpływał na mnie dodatnio. Jak tak dalej pójdzie, to stanę się dobrym i wszyscy będą mnie lubić. Natalia będzie szczęśliwa, Dawid też... — nie daj Boże!

Zeszliśmy ścieżką do szosy, która wyglądała jak kręta rzeczka, w odbijających się od mokrej nawierzchni promieniach porannego słońca.

Tłumaczenie:
EWA I DARIUSZ MILERSCY

Mało kto dzisiaj wie, kim był Bruno Winawer. A jednak w okresie międzywojennym miał spore sukcesy jako komediopisarz, nie tylko na scenach polskich. Jego „Księgę Hioba”, tłumaczył na angielski Conrad Korzeniowski, a oceniał ją niezwykle pochlebnie Bernard Shaw.

Z wykształcenia był Winawer fizykiem, ale z drogi naukowej zrezygnował dla pióra, uprawiając oprócz dramaturgii i felietonistyki popularyzację nauk ścisłych. Bardzo ceniony na tym polu przez redakcje i wydawnictwa jako adaptator i komentator zagranicznych nowości naukowych, pisywał niezmiennie pod przybranym, bardziej swojsko brzmiącym nazwiskiem, ze względu na nasilenie się bojkotu o charakterze antysemitycznym. Było tak m.in. z jego udziałem w polskim wydaniu słynnej książki De Kruifa „Łowcy mikro-bów”.

Do najbardziej znanych utworów Winawera należała powieść fantastyczno-naukowa „Doktor Przybram”, wydana w 1924 r. Książka pisana jest jakby z perspektywy roku co najmniej 1950 i stanowi rzekomą rekonstrukcję życia i działalności wybitnego polskiego wynalazcy, który, w momencie gdy go poznajemy, tj. na początku lat dwudziestych, jest dopiero na tropie swego genialnego odkrycia: „największego przewrotu w dziejach tego globu”, a mianowicie „zimnych płomieni”, niezwykle taniego źródła światła. Za pośrednictwem odkrytej przez Przybramę substancji garść zwykłego piasku, naświetlanego w dzień, może emitować pobraną energię w ciągu nocy. Zapowiada to prawdziwą rewolucję w systemie oświetlenia ulic, szlaków komunikacyjnych, lotnisk, samolotów...

Ale trzeba najpierw zainwestować w badania znacznie więcej pieniędzy, niż ich ma polski docent fizyki, mimo iż spędza czas w słynnym Marienbadzie — Mariąńskich Łaźniach. Postanawia więc przekazać listownie tajemnicę wynalazku pewnemu amerykańskiemu uczonemu, zanim rozstanie się z życiem. Dziwnym trafem list dociera do rąk zagadkowej i wspaniałej osobistości, tytułującej się markizem Castiglioni. Ten okazuje się być w rzeczywistości wynalazcą i wspólnie z nie mniej

tajemniczym finansistą udziela Przybramowi pomocy, finansując spółkę akcyjną pod naukowym kierownictwem Przybramy, który zgadza się figurować jako węgierski arystokrata Mindszenty.

Wypuszczone akcje idą, jak woda, Przybram staje się nagle dysponentem pokaźnych sum, co jednak nie posuwa prac badawczych naprzód, ponieważ obaj protektorzy własnie na ten cel nie chcą dać pieniędzy i zaczynają nawet odwoływać Przybramę od idei uszczęśliwienia ludzkości, skoro interes i bez tego świetnie się rozwija. Tłumacza naiwne-

wiedeńskiej wytwórni filmowej. Uciakają niezupełnie własnym samochodem, a Przybram ponadto z paszportem niejakiego Pospiszila.

Nelli gra w filmie rolę wielkiej gwiazdy, Przybram natomiast zadowala się rolką naukowca, bez powodzenia zresztą, ponieważ ludzie z filmowej branży zarzucają mu niewłaściwe posługiwanie się naukowymi akcesoriami. Pewnego dnia „na planie” pojawiają się autentyczni żandarmi, z miejsca „związują” poszukiwanego Pospiszila vel Mindszenty i odstawiają ciupasem na salę sądową w Mariąńskich

cym cień światłem lampy naftowej, a jeszcze bardziej za Nelli, która do niego powraca, aby razem z nim, acz niezbyt chętnie, udać się na daleką północ, dokąd jeszcze nie dotarli przeklęty wynalazek. Po drodze przejeżdżają przez Polskę, gdzie entuzjastyczne tłumy, z oficerami na czele, witają sławnego rodaka, nie mając zresztą pojęcia, czego on właściwie dokonał.

Po krótkim czasie Nelli, nie stworzona do cichego życia, ucieka od Przybramy z kimś znacznie atrakcyjniejszym. „Dalsze dzieje Przybramy” — pisze autor w rzekomej re-

Z lat młodości Science Fiction

(2)

Naiwność wynalazcy

mu fizykowi, że: „Napisy na akcjach, jak w ogóle wszelka literatura, mają swoją własną prawdę, niezależną od życia. Utworzyliśmy spółkę, napisaliśmy: „Tow. akc. Sypkie Światło” i odtąd „sypkie światło” istnieje bez względu na to, czy je pan odkrył czy nie. Pan może być bardzo daleki od tego odkrycia, a akcja polecie do góry. Pan może być też przy samym odkryciu, a akcja polecie na dół. Ten papier żyje niezależnie od pana — to jest obiekt handlowy”.

Pojmujemy już więc, że rzekomi dobroczyńcy Przybramy zwyżyli w idei „zimnych płomieni” doskonały reklamowy trick, który im napędza pieniądze do kieszeni. Po licha więc wynalazek! Na szczęście nasz bohater zachowuje się jak sztabak w fascynującej istocie imieniem Nelli, najbliższego orszaku markiza Castiglioni, toteż kiedy markiz w czasie hucznej libacji daje kelnerowi pięć funtów szterlingów napiwku i okazuje się, że są to pieniądze fałszywe. Przybram pojmuje, że wpadł w nie najlepsze towarzystwo, postanawia uciekać gdzie pieprz rośnie, ale razem z Nelli, która na to przystaje, ponieważ kroi jej się angaż w

Łaźniach, gdzie spotyka zdeprawowanych wspólników z „Towarzystwa Akcyjnego”. Już ma zapas surowy wyrok, gdy z ław dla publiczności podnosi się krzyk. To ów amerykański uczonej (do którego jednak dotarł list) zaświadcza gromkim głosem, że Przybram jest genialnym odkrywcą i że za niego poręcza, wraz z przybyłymi z nim amerykańskimi bankierami. Pod naciskiem podbiechanej publiczności sąd uniwinia Przybramę, no i wreszcie „zimne płomienie” są na najlepszej drodze, ponieważ bankierzy angażują się całkowicie w uszczęśliwienie ludzkości.

Rusza pełną parą produkcja substancji, dzięki której z piasku otrzymuje się dowolne ilości światła, ludzkość pada na kolana przed swoim dobroczyńcą. Wszystko wskazywałoby na szczęśliwe zakończenie sprawy, ale — nie. Docent Przybram (nie tylko on jeden) zaczyna odczuwać niechęć do wszechwładnego, natrętnego blasku, który noc zamienia w dzień i pozbawia życie wszelkich uroków intymności. Zaczyna tęsknić za pocziwem, staroświecką zarówką elektryczną firmy „Osram” lub zgoła za migotliwym, rzucają-

trospiektywie lat 50-tych (których Winawer nie dożył) — „toną w mroku faktów nie sprawdzonych. Ślad po nim zaginął”.

Mówiąc w skrócie, ostateczną klęskę życiową Przybramę spowodował niewłaściwy użytek, jaki uczyniono z jego wynalazku, ponieważ świat — taki, jakim jest — wszystko obraca w niwecz: „Nasze ustawy paszportowe i nasze egzaminy szkolne, nasze giełdy, teatry, dzienniki, sądy, urzędy, granice, kobiety, nasze przepisy etyczne sprzyjają znacznie więcej rozwojowi idiotów niż Przybramów” — konkluduje Winawer A.D. 1924.

Miał Bruno Winawer swoje powody do gorzkiego sarkazmu.

JERZY KWIECIŃSKI

Bruno Winawer: „Doktor Przybram”, powieść. Biblioteka Dziej Wyborowych. Wydawnictwo tygodniowe pod redakcją Stanisława Lama, Warszawa 1924, ss. 144.

Spod lady

Supermani i anioły

debiutantów, i w ich wyszukiwaniu ma spore sukcesy.

Niedawno na ładach księgarskich ukazał się kolejny, dwudziesty drugi już tomik: „We własnej skórze” Dariusza Filara, zawierający dwa opowiadania. W porównaniu z poprzednią książką Filara („Czaszka olbrzyma”, NK 1976) stanowi on duży postęp, zarówno w zakresie techniki literackiej, jak i pomysłów. Stanowczo lepsze wydaje się opowiadanie tytułowe; rozgrywa się ono w bliżej nieokreślonej przyszłości, jego bohaterem jest niejaki Alan King, gwiazdor tzw. a-liusensorii, będącej spadkobierczynią dzisiejszej telewizji. Aliusensoria, która rozwija się prężnie, wypełniając swymi emisjami coraz większą część czasu przeciętnego mieszkańca Ziemi, dostarcza wrażenie bohatera spektaklu wprost do mózgu odbiorcy, który w ten sposób uzyskuje iluzję zupełnego wcielenia się w przeżywającego najniezwyklejsze przygody supermana. Większość ludzi aliusensoruje się regularnie, do tego stopnia, że potracili już orientację, co w ich życiu jest rzeczywistością, a co stworzonym przez aliusensorię złudzeniem.

Ciekawe, choć może niezupełnie nowe wydają się rozważania autora nad ogólną potęgą środków masowego przekazu, zanikiem więzi między ludźmi i osamotnieniem człowieka w tłumie, wypowiedziane w opowiadaniu przez „Comandante A” — człowieka pragnącego zniszczyć aliusensorię i wyzwoleć ludzkość. W kulminacyjnej scenie utworu nie wiedzący o niczym King zabija podczas emisji „Comandante A” przekonany, że ma przed sobą tzw. „fantom”, imitującą człowieka kukłę, używaną do realizowania tego typu scen w sensacyjnych widowiskach. Przejrząwszy intrzygę swych mocodawców, bezsilny, popęnia, również podczas emisji, efektowne samobójstwo, które jednak — o czym King również

nie może wiedzieć — pozostało niezauważone, gdyż chwilę przedtem całą emisję przełączono na jego dublera.

Podana tak fabuła spłyca nieco autor, dlatego zachęcam do zapoznania się z tą książką samemu. Jedyne co miałbym autorowi do zarzucenia, to że opowiadanie jest minimalnie za długie.

Oddzielnego omówienia wymagałoby drugie opowiadanie, „Inne miejsce”, zupełnie różne od pierwszego. Nie nada się ono do streszczenia, gdyż podane w takiej formie nie miałyby sensu. W zamysłu autora miało być ono utworem w konwencji „psychodelic” pozbawionym dialogów, operującym poetyckimi symbolami. Nie jest to opowiadanie genialne, choć nie można mu zarzucić żadnych konkretnych braków. Jest ono po prostu w każdym calu poprawne — ale to odrobina za mało.

Reasumując, trafiła wreszcie na nasz rynek książka godna przeczytania, co cieszy, zwłaszcza po wydanej ostatnio sterce słabizny (patrz recenzje „Spod lady”), a także na tle dwóch ostatnich, dość miernych pozycji serii „Stalo się jutro”. Zapowiedzi wydawnicze „Naszej Księgarni” pozwalają czekać na następne tomiki serii z nadzieją.

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

P.S. Bezprawnie pożyczylem sobie tytuł „Supermani i anioły”, który był pierwotnie planowanym tytułem zbioru, a następnie został, z pewnych względów, zmieniony na „We własnej skórze”. Mam nadzieję, że autor ani wydawnictwo nie pogniwają się na mnie za to.

Liryki norymberskie

ANDRZEJ JÓZWIAK



Zapowiadał się szalony finał sierpniowego weekendu. To było już widać na parkingu na sto osiemdziesiątym kilometrze przed Norymbergą. Jest godzina siódma rano. Niedzielny poranek po wschodzie słońca czeka na kolejny upalny dzień. Parking na autostradzie E-12 tuż za Heilbronn i skrzyżowaniem z autostradą E-70 ze Stuttgartu. Informacja ważna, bo to właśnie wczoraj w Stuttgarcie zakończył się pierwszy, blisko 11-godzinny, koncert największego festiwalu muzyki rockowej. Osiem zespołów muzycznych występowało na wolnym powietrzu dla kilkudziesięciotysięcznej publiczności. I dlatego właśnie ten parking zawalony jest dziesiątkami samochodów wypełnionych młodzieżą. Niektórzy jeszcze śpią, inni jedzą śniadanie, jeszcze inni pospiesznie odjeżdżają, ale ciągle przyjeżdżają następne grupy, wyją motory motocykli, dzwienią tranzystorowe radia, jest tłoczno, hałaśliwie.

— Jedziecie na rockfest do Norymbergi?
— Czekam o 10 na Altstadt...
— Pozdrów Phila i posłuchaj jak gra „The Animal”...
— Załatwie mi plakat tej brytyjskiej grupy...
Ci wszyscy rozkrzyczani młodzi ludzie albo wracają do domów ze Stuttgartu, albo też — co jest bardziej prawdopodobne — ciągną teraz na kolejny koncert tej gigantycznej rockowej imprezy.

Dokładnie o godzinie 11 wystartowała nowa amerykańska formacja rockowa „More”. Był to festiwal reklamowany jako „Złota rockowa letnia noc”, ale zaczynał się godzinę przed samą południem, a kończył o grzecznej godzinie 22, a nawet kilkanaście minut wcześniej. Na parkingach przed terenami festiwalowymi stało około dziesięciu tysięcy pojazdów (te dane podało po południu radio), a przed sceną kotłowało się na olbrzymim placu prawie trzydzieści tysięcy ludzi. Scena była podwójna, wysoka, szeroka na 50 metrów i tak zmyślnie urządzona, że kiedy na połowie sceny grał jeden zespół, to już na drugiej scenie pracownicy techniczni ustawiali kolumny, wzmacniacze, instrumenty kolejnego zespołu przygotowującego się do występu.

Jak już powiedziałem wystartowała amerykańska grupa „More”. Robili znakomitą muzykę na znakomitych jeszcze sprzęcie. Mieli najlepszy doping ze wszystkich zespołów biorących udział w festiwalu i wielominutowe owacje po każdym utworze.
Podobno wczoraj w Stuttgarcie zgromadziło się tylu amerykańskich żołnierzy z wojsk stacjonujących w RFN, ilu nie było i jakich nie widziano od czasu gdy zmotoryzowane grupy armii Eisenhowera dotarły pod Stuttgart, a czołgi generała Pattona zdobyły mieszczące się na przedmieściach zakłady przemysłu samochodowego Daimler-Benz A. G. Ciekaw zresztą jestem czy sierżant Reginald Isherwood — którego pluton wziął do niewoli broniący zakładowej bramy doborowy oddział desperatów z Waffen SS — przewidział, że w latach osiemdziesiątych Daimler-Benz będzie miał ponad 100 tysięcy pracowników i filie nawet w Indiach? Ale to tak na marginesie, bowiem do występu przygotowuje się już „Blackfoot” (zespół reprezentujący typową country-music). Na scenie jeszcze wciąż amerykańscy chłopcy z „More”, a przed sceną — podobnie jak w Stuttgarcie — piekielny doping robią sympatyczni chłopcy z US Army. Jeden z nich, wysoki, barczysty Murzyn podnosi do góry piskzącego, białego, puszystego pieska. Robią sobie zdjęcie z pieskiem i zachowują się jak na pikniku. Czterej pancerni i pies.

Aby już zakończyć sprawę publiczności dodam, że reagowała bardzo spontanicznie, a zwłaszcza produkcje grup Motörhead i Iron Maiden spotykały się z niekłamnym entuzjazmem i aplauzem widzów. A kiedy solista zespołu „Iron Maiden” —

ubrany w wielką przerażającą maskę bliżej niezidentyfikowanego monstrum z długimi białymi włosami — polewał wodą sodową z gaśnicy stojących bliżej słuchaczy: był to szal i prawdziwa radość. Ja osobiście wolałbym, aby był to szampan.

Parkingi i olbrzymie przyfestiwalowe tereny zawalone samochodami. Ale oprócz samochodów różnych typów królują tu wszelakie marki motocykli: Od Hondy Camino Sport kupowanej głównie dziewczętom przez roztopionych rodziców (25 km/godz. i waga 60 kg) poprzez Hondy MT 80 aż do prawdziwych gigantów zatłoczonych autostrad, rakietowych Kawasaki i Suzuki zdolnych zostawić w tyle najlepsze auta.

Właścicielami tych drobiazgów oraz odbiorcami festiwalowej muzyki są przede wszystkim dzieci. Tak, dzieci. To przecież już w drugim roku „ery Beatlesów” Leonard Bernstein powiedział w wywiadzie dla CBS Television, podczas audycji poświęconej pop-music, że jest ona niepodobna do jakiegokolwiek dziedziny muzycznej na przestrzeni wieków. Jest ona wyłącznie opanowana przez dzieci, a pod mianem „dzieci” należy mieć na myśli każdego od lat ośmiu do dwudziestu pięciu. Piszą teksty piosenek, śpiewają je, są właścicielami, nagrywają i kupują płyty, stwarzają rynek, narzucają modę w muzyce, w ubraniu, tańcu, uczesaniu, stwarzają swój żargon, styl bycia...

Kiedy powiedziałem to wszystko Włodkowi jako wynik moich dzisiejszych obserwacji — syknął:

— Pss, mów ciszej, bo jeszcze nas stąd wyrzucą za przekroczony wiek.

No tak, ale z tego wszystkiego zapomniałem powiedzieć kto to jest Włodek.

Włodek wyciągnął koc z samochodu i położył się na trawie. Mam z nim same problemy. Byczysko liczy sobie 185 cm wzrostu i waży blisko 120 kilogramów. Żywe zaprzeczenie kryzysu. Niemcy zatrzymujący się koło naszego fiata, ściągając nie typowym kolorem tablicy rejestracyjnej, zastanawiają się przed nim przez chwilę: Polacy... czy nie Polacy? W momencie kiedy wytacza się z samochodu 120 kilogramów Włodka, odchodzą zawiedzeni mrucząc pod nosem: to Holendrzy (Holandia ma podobne do naszych kolory tablicy rejestracyjnej).

Ukrop z nieba. Czerwona kula na niebie świeci mocniej od najlepszej niemieckiej lampy kwarcowej. Woda w syfonie jest już prawie ugotowana. W pobliżu zatrzymuje się przeraźliwie błyszczący z słońcu nikiel jakiejś strasznej czerwonej osmiornicy. To motocykl Hesketha 1000 — zwany tu angielską Lady — osiąga 140 mil na godz. (powtarzam: mil) i kosztuje dwadzieścia tysięcy DM.

Motocykliści jak astronauty zdejmowali wielkie kaski, odpinali srebrzyste skafandry z dziesiątek przeróżnych ekspresów. Bliskie spotkania trzeciego stopnia.

Właściciel Hesketha 1000 po ściągnięciu z siebie lotniczego kombinezonu siedział obok nas w czerwonej podkoszulce z napisem „Jim”, a wypływające włosy opadały mu w nieładzie na przyszczone czoło. Drugi szarpał się dopiero z trzecim ekspresem groźnie wyglądającej bluzy. Jeszcze dziesięć ekspresów i będzie mógł siedzieć w samych majtkach.

Jest godzina czternaście. Przedzieramy się przez gąszcz nóg, splecionych rąk, złączonych głów. To ci, którzy nie wytrzyma- li upału. Posłuchaj muzyki, pofańcza trochę, powrzeszczą i dalej w cień na wschód od Edenu. Odpoczynek wojowników.

Na estradzie Motörhead. Tak potężnego uderzenia jeszcze nie słyszałem, jak siedzę w tej branży smutnej, choć rozrywkowej nie pamiętam już ile lat. Chyba dwieście.

Straszliwa siła rażenia dziesiątek głośnikowych kolumn. Podobno 30 tysięcy Watt. co brzmi wręcz nieprawdopodobnie, ale co później z niedowierzaniem przekazywano z ust

do ust jako fakt. Motörhead był chyba słyszalny w całym RFN.

I na Boga, nie wiem czy było to pragnienie jeszcze większych emocji, czy też — być może — ironia, ale sympatycy Motörhead wywiesili przed sceną transparent „Lemmy lauter!” (Lemmy głośniej). Przerażony, że Lemmy może znać niemiecki i podkreśli do oporu gąłki wzmacniaczy, zwałem w stronę samochodu.

I znów przedzieraliśmy się przez gąszcz nóg, splecionych rąk, złączonych głów. Dwie młodziutkie dziewczynki, które wciąż jeszcze nie mogły się zdecydować, czy wolać w przyszłości spać z chłopakami, czy też chcą być lesbijkami — całowały się słamazarnie (okropny upał) i pieściły czubkiem języka swoje zapadnięte sutki. Włodek prawie na nie nadeptnął. Brak mu tolerancji seksualnej.

Obok naszego fiata zatrzymał się „Golf SC”. Dwie dziewczyny pozdrawiają nas podniesieniem dłoni i przyjaznym uśmiechem.

— Widzieliście ten transparent koło sceny? — pyta jedna z nich.

— Ci z transparentem to głuchoniemi — mówię do naszych sąsiadek, ale chyba mnie nie słyszą. Lemmy i spółka skutecznie niszczy bębni- uszne.

Prowadząca samochód długowłosa blondyna o smukłych nogach i śmiałych zaczepnych teutońskich oczach podnosi maskę i nachyla się nad silnikiem. Nad głęboko odsłoniętą kształtną dziewczęcą pierś — tatuaż. Jakaś tam płatnina fioletowych liści.

Druga z dziewcząt wyszczyrzyła do dna puszkę coli i rzuca się na trawę. Wysoko zadarta sukienka odsłania apetyczne, dobrze odkarmione, opalone uda. Na prawym, osma-ganym wiatrem i słońcem u- dzie, tatuaż. To nazwa popularnego zespołu pop-music „Kiss”.

— Powariowały — szepcze ze zgrozą Włodek. — Wyobraź sobie Celinę z wytatu-owanym napisem: Kocoon!

— Jesteście z Holandii? — pytają zaczepne teutońskie o- czy przesięzione grzywą blond włosów — i nie czekając na odpowiedź, ich właścicielka przekręca gąłkę samochodowe- go magnetofonu prawie do o- poru i „Boney M” ze swą „Consuela Biaz” dominują nad naszą częścią parkingu. Jest to już słyszalne, ponieważ na estradzie „Iron Maiden” — następna grupa — już nie tak hałaśliwa. Basista Steve Harris — nagi do połowy, zły potę-tem tak jakby dopiero wyszedł spod przysznica — prawie wisł nad głowami tłoczących się bliżej słuchaczy. Solista „Eddie” (maska ostrościwego przedwcześnie King-Konga) polewa z gaśnicy pierwsze rzędy widzów. A później... Było to naprawdę miłe uroz- maicenie po nawale rocko- wych fraz i tym potwornym hałasie. Sprawiało to amerykań- ska top-formacja „Kansas” ze znakomitym skrzypkiem Rob- by Steinhardt'em. W tym naj- większym żarze grali swoją sympatyczną, chłodną, prawie klasyczną muzykę. Kupiwszy po drodze parę mineralnych wód przedzieram się z powro-tem do samochodu.

Tu sytuacja się trochę zmieniła. Właściciele czerwonego Hesketha 1000 wyraźnie są niezadowoleni z upo- dobań muzycznych

sąsiadek. Ten z płowymi włosami i w czerwonej podkoszulce z napisem „Jim” już wcześ- niej próbował poderwać dziewczynę, ale teraz wyraźnie się nudzi i staje się agresywny domagając się wyłączenia Boney M (leci już „Felicidad”). Drugi z nich ma już dosyć u- pału, rockowego festiwalu i piwa. Jest bladziutki jak przedwojenna ładaczka po zażyciu kokainy Jego karmi- nowe pomalowane usta lusz- cza się, a lśniący srebrnym lak- ier na paznokciach bieleje. On sam natomiast wypływa z siebie białą piankę, ale ciągle jeszcze próbuje piśkliwe wspomagać swego przyjaciela i coś tam obeiżwego bełkocze do dziewczyn. Ale potem nie wytrzyma i wewnętrzny

ciśnienie i rzyga cieniutką stróżką na niklowane części motocykla. Samotność długo- dystansowca.

To dopinguje czerwona pod- koszulka z napisem „Jim”. Podnosi się i potrzasać pło- wymi kłakami sunie tygrysim chodem do „Golf SC”. Ma ambitny zamiar wyłączenia magnetofonu i być może lek- kiego trzaśnięcia w blond- głowę tatuiowanej. Ale od za- miaru do realizacji droga da- leka. Włodek prostuje swoje 185 cm i 120 kilo, podciąga re- kaw lewej ręki. Obserwujemy drogę powrotną płowego Jima. Robi to szybko, nawet — jak na taki upał — za szybko.

Jest godzina 19. Na e- stradzie Blue Oyster Cult. Reprezentują typowy Heavy-Metal- Rock. To co w tej chwili usiłują nie- zdarnie naśladować polskie ze- społy. W muzyce rozrywkowej — i nie tylko — zawsze byli- my papuga narodów. Nigdy nie mieliśmy prawdziwego show-businessu i nigdy nie be- dziemy go mieć. Jesteśmy jak- ten impotent co to wie jak trzeba, ale nie może. Struktura naszego „przemysłu” roz- rywkowego to raj dla tępych kontrolerów... Show-business to struga pieniędzy, a tymcza- sem jedna z naszych estrad decyzyj jednego z naszych pre- zydentów dostaje 12 milionów złotych zapomogi... bezzwrot- nej. I to już po wprowadzeniu reformy gospodarczej i 3 „S”. Ludzie, ludzie przecież my i- dziemy nie w tę stronę... Wy- step Blue Oyster Cult zapo- wiaдал się interesująco, kiedy nagle spadł deszcz. Kilka ty- sięcy ludzi stało słuchając mi- stycznych tekstów gąpy mu- zycznej, reszta kryła się gdzie- kto mógł. Tuż po zachodzie słońca deszcz przestał padać.

Jest godzina 21. „Fo- reinger” — ostatnia formacja wieczoru. Są już zapalone silne światła, a puste skrzynki po wodzie mineralnej poniewierające się po scenie i wokół niej świad- czą o zbliżającym się końcu imprezy. Wracam do obozu. Hesketha 1000 już nie ma, a Włodek gramoli się z Goltfa SC, w którym schował się przed deszczem, (dziewczyna też wygląda na zadowoloną). — Wiesz Jędrus — mówi Włodek konspiracyjnie — to nie jest prawdziwy tatuaż.

Palce ma całe fioletowe. Rock-festiwal odbył się na dawnych terenach zjazdów hitlerowskiej partii. Norym- berge — ta nazwa brzmiała ongiś jak ostrzeżenie. Niebez- pieczny poślizg wielkiego na- rodu. Ongiś wiatr zagłuszany był przez dźwięki fanfar i stukot werbli — dziś wiatr rozwiewa resztki muzyki, roz- nosi papiery i plachty wymię- toszone gazet, brzęczy pus- kami po piwie. Powoli i spo- kojnie rozjeżdżają się fanaty- cy pop-music.

Obok nas wolno przejeżdża samochód z napisem Motör- head. Za kierownicą perkusi- sta Phil „Animal” Taylor. O- bok niego basista Lemmy Kil- mister. Ten zrywny facet re-klamuje się, że ma tylko 18 zębów (gdzie on podział pozos- tałe 14?), a na jego basowej gitarze wypisane jest wyraź- nym gotykiem: „pocałuj mnie w d...”. Jest to świeże i od- krywcze. Lemmy macha łapa- mi (na każdym palcu pierś- cionek) i otwierając sympa- tyczną buzię z wasami boko- brodami i osiemnastoma ze- bami wrzeszczy do nas (chyba do nas).

— Koniec zabawy. Na co czekacie?

— Na telefon z Nowego Yorku...

Zmęczeni gladiatorzy znikają w tumanach kurzu. No cóż pora kończyć te liryki norym- berskie. Zapada zmierzch jak dziurawa kurtyna. Replay'u nie będzie.

Gromadka nastolatków prze- myka się obok. Ostatni dźwięk wielką tablicą na plecach. Potem rzuca ją w pobliskie krzaki.

Czytam: Entschuldigen Sie, dass ich geboren bin- es soll nicht wieder vorkommen!

Przepraszam, że się urodzi-łem — to nie powtórzy się więcej!

Jeszcze w latach pięćdziesiątych było ich wielu; na różnego rodzaju wozach zaprzężonych w gniade i bułane objeżdżali systematycznie wszystkie ulice miast i osiedli, a gromadząc rozszewranych dzieciaków, biegła za nimi powtarzając cienkimi głosami charakterystyczny zaśpiew wozaków: — Smooot, smoot, stare szmaaty, galgaaa...

Ale wykuszili się, zniknęli niemal zupełnie z miast i wiosek, a ich miejsce zajęły hasła. I akcje. Od historycznego już „Zbieraj złom dla Nowej Huty” aż do „Miliardy nie do wzgardy”, „Lektury z makulatury” i tym podobne. Bawili miły lata — okazało się, że już nie „szmaty i galgany” są najważniejsze, ale równie istotny jest złom i wszelkiej maści papierzyśka.

Rozrastały się, przynajmniej teoretycznie, przedsiębiorstwa zajmujące się skupem surowców wtórnych, ale w płataninie nie-dorzecznych przepisów, ustaleń, okazjonalnych zbierackich zrywów, tych samych smętnych sloganów — zaginał gdzieś ów odruch, chęć odstawienia do punktu skupu jakichś rupiec czy starych gazet. W tym specyficznym bałaganie gubili się wszyscy. A jak inaczej określić symboliczną wręcz dla „surowców” sytuację, wyrażającą się kompletnym galimatiasem w skupie choćby opakowań szklanych? Do dziś przeciętny obywatel nie wie co idzie duże czy małe, litrowe butelki czy tylko „połówki”, zielone czy białe? A kieliszki, szklane stuczki a stolki — jeśli tak — to które? Po winie — podobno tak, a po occie i bulgarskich sokach? „Czy ja nie mam ważniejszych problemów — wywałę to wszystko razem do pojemnika na śmieci i spokój” — takie rozumowanie, niestety, zwycięża.

Po latach wyłożonej pracy przedsiębiorstwa zajmujące się skupem znajdują się w paradoksalnej sytuacji: produkty, które z powodzeniem mogą być przetworzone, wykorzystane — nie są w stanie skupić w potrzebnych ilościach, a innych, których można by zdobyć pod dostatkiem — nie biorą lub w minimalnych ilościach, bowiem nie wiadomo co z fantem zrobić...

Krajowy, całkiem w sumie wesoły (aż do łez)

OBRAZ PAŃSTWOWEGO ZBIERACTWA

Próbujemy sobie nieco przybliżyć na podstawie Okręgowego Przedsiębiorstwa Surowców Wtórnych w Łodzi. Jest ono jednym z piętnastu analogicznych firm w kraju, a jego rejonem działania są województwa: łódzkie, sieradzkie, piotrkowskie, częstochowski i plockie. Nawiasem mówiąc, pierwsze co uczyniono w przedsiębiorstwie po uzyskaniu samodzielności (ha, jak to brzmi!) to manewrem oskrzydlającym „zagarnięto” Kutno i Łęczycę, odstępując sąsiadom dotychczas obsługiwany rejon Żyrardowa i Sochaczewa.

Skup, przetwórstwo i produkcja — to podstawy funkcjonowania łódzkich „Surowców”. A kupują osiem podstawowych, niemetalicznych: makulaturę, zużytki włókiennicze (czytaj — szmaty), odpady włókiennicze (ścielki, waty, puch, a nawet kurz...), opony do bieżniowania i złom gumowy, tworzywa sztuczne (zużyte i odpady tworzyw), stuczki szklane i butelki. Jak w każdej szanującej się wyliczance istnieć musi także pozycja „Inne”. Bodać najciekawsza, bo tu już trzeba ruszyć głową, a nie wyłącznie decydować — bierzemy albo nie. Kiedyś dla przykładu Zakłady Mleczarskie nie bardzo wiedziały co zrobić z dużą partią jakichś powlekanych polietylenem tekturowych tacek i kubków. Poszłyby na wysypisko — szczęściem znaleziono spółdzielnię ogrodniczą, która z powodzeniem je wykorzystwała. No a cóż może być za pożytek ze zużytych baterii z laterek? Po dłuższych poszukiwaniach znalazł się chętny. I słusznie, wszak w takiej baterii to i trochę węgla jest i blachy ocynkowanej...

Zgola niesamowita propozycja złożyła parę lat temu za pośrednictwem Centrali Handlu Zagranicznego jakaś firma zachodniemiecka sugerując kupno dużych ilości... włosów łudzkich. Zawierała one sporo — tak argumentowano — biologicznie czynnych składników i wykorzystywane miały być do wyrobu kosmetyków. Poczyniono wstępne „rozcznienie terenu”, wszak zakładów fryzjerskich różnej maści (włącznie z tymi w zakładach karnych) — nie brakuje. Jednak narodowe skrzywienie po ostatniej wojnie robi swoje; okupacyjne skojarzenia sprawiły, że rozpoczęła już nawet akcja spalania na panewce. I nie doszło do handlowej transakcji, mimo, iż Niemcy obiecywali płacić ponad 100 dolarów za jedną tonę...

W czasach obowiązywania trzech „S” żartów nie ma (podobnie jak opiekujących skrzydeł zjednoczenia) i przedsiębiorstwo może sobie pozwolić na kupno takich surowców, które można jeszcze wykorzystać, czyli wyeksportować dalej oraz po takich cenach, by nie spłajać. Toteż dla przykładu jakieś skóropodobne skrawki tkanin bądź bardzo utępnione (taki sobie „fachowy” zwrot) — to jest laminowane, powlekane — wędrują na wysypisko śmieci.

A już najbardziej klasyczny dla funkcjonowania systemu skupu surowców wtórnych jest

CASUS „STŁUCZKA SZKLANA”

Dostawców, w setkach ton rocznie, nie brakuje niestety. Niestety, bowiem z „Polmosu”, Zakładów Mleczarskich, browarów, przetwórci owocowo-warzywnych przyjmuje się jej z roku na rok coraz mniej. W 1971 przedsiębiorstwo było w stanie przyjąć i dalej wyeksportować ponad 4,5 tysiąca ton stuczki, a obecnie z trudem udaje się ulokować gdzieś 1,2 tysiąca ton tego surowca. Powiedzmy otwarcie — surowca dla hut szkła, które jednak biorą go bardzo mało, za to lubią wybrzydząć, że zanieczyszczone, niejednorodne itd. Poza tym — piachu w tym kraju jeszcze jest pod dostatkiem, niezbędnej do produkcji szkła sody kalcyonowanej — też, bośmy sobie zafundowali nawet licencję, francuski, specjalistyczny zakład parę lat temu. Toteż huty mają stuczki, nawet najlepszej jakości, przepraszam, w nosie. A tych paru drobnych, indywidualnych odbiorców z Podbeskidzia to w skali kraju praktycznie nie liczy.

I cóż te biedne zakłady, które tłuką rocznie setki ton butelek czy siołków mają z tym towarem zrobić? Spalić się nie chce, zgnić na wysypiskach też nie, MPO się broni przed ich upłynięciem. Nie do rzadkości należą więc przypadki wywalania wyrotów ze stuczki do lasu, bądź dyskretnego podstawiania do huty całych wagonów stuczki. Bez uzgodnień i zamówień oczywiście, ale jak taki wagon po kraju trochę pokrąży to i szkło na jakiś czas placów składowych nie zaśnie.

„Ludzie! Wszak to niesamowite marnotrawstwo” — zakrzyknąć może ktoś naiwny (a jeszcze tacy?). „Przecież to można doskonale wykorzystać”. Ano pewnie, że można. Tylko, że stuczki szklanej nikt nigdy na dobrą sprawę nie potrzebował, zawsze był to temat wstydlawy i w naszym interesie nie leżało poszukiwanie praktycznych rozwiązań. Co prawda zlecono kiedyś ten problem do rozwikłania naukowcom z krakowskiego Instytutu Szkła i Ceramiki. Stwierdzono wówczas, iż wyodrębnić można około 20 doskonałych zastosowań szklanych resztek — od wyrobów detalicznych do budowy dróg włącznie. Mówiono o szklanych elewacjach ściennych w ośmiu zestawach kolorystycznych, była nawet partia pilotowa. Dyskutowano nad granulowaniem, przerabianiem na maczkę szklaną jako wypełniacz przy budowie nawierzchni. Zachęcano się nad możliwością wykorzystania przy produkcji tzw. waty szklanej. Ech, teoria. Sprawa umarła śmiercią naturalną — rozwiązań było pod dostatkiem, tylko odbiorców, którzy zastosowaliby pomysł — w praktyce nie stało. Może i sama branża surowcowa zajęłaby się tym tematem bliżej, ale oni przecież przez te 37 lat żyli tylko akcjami, hasłami, sloganami, urządzanymi na łeb na szyję zbiorakami. A była w swoim czasie nawet propozycja by hutę szkła w Wałbrzychu przemodelować na produkcję wyrobów z wykorzystaniem stuczki. Długo raczej te przymiarki trwały, bo w międzyczasie huta zdążyła się wyremontować, zmodernizować i — temat upadł.

Dla przedsiębiorstw surowcowych generalnie handel szkłem to żaden biznes. Owszem, uzgodnione centralnie ceny na opakowania szklane (te typowe oczywiście, bo reszta — jak powiedzie-

liśmy — jest poza zasięgiem naszych możliwości skoczyły z 3 złotych na 8 złotych. Natomiast marża za obrót butelką pozostała bez zmian — wynosi 50 groszy. Śmieszne, ale trzeba to jeszcze podzielić między kupującego od dostawcy, firmę i przemysł. W efekcie „Surowce” otrzymują... 15 groszy, co m. in. ma wystarczyć na koszt transportu no i utrzymać przedsiębiorstwo. Przy podniesieniu ceny nikt nie pomyślał o podwyższeniu marży — to typowe. Przecież w naszym interesie nie leży dbałość o opakowania szklane. Rozwiązać nie umiemy zresztą znacznie prostszych dylematów: siołków typu „twist-off” już się nie skupuje, bo nie ma ich w co pakować. Skąd wytrzasnąć jakieś pasujące skrzynki czy kartony? Za te marne 15 groszy tyle zabiegów...

W łódzkim przedsiębiorstwie przekonywano mnie jednak, że jest stosunkowo prosta

RECEPTA NA SZKŁO

No bo tak: wiadomo co można by robić, technologie są opracowane, a każde z Okręgowych Przedsiębiorstw stać na to, by wybudować u siebie niewielkim nakładem kosztów jakiś oddział, zakład, który wykorzystywałby nieszczęsną stuczki. Aby się utrzymać, mógłby coś produkować, a propozycji wystarczyłoby dla wszystkich z nawiazką.

No tak, ale w tej „Szmacianej” branży nigdy nie było za co budować, bo cóż to też za siła przebicia, ani to zagłębie miedziane, ani statki, ani Belchatów. To taka krajowa rezerwa, lekarstwo na złe samopoczucie. Zbierajcie, zbierajcie, nie ma-

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

Stare szmaaty, galgaaa...

rudzie z jakimś inwestycjami (Dla szmat? W głowach im się przewracało?). A jak ktoś się obudził, że złomu mało czy makulatury — to się was uruchomi, akcję jakąś zorganizuje...

A w czasach reformy? Cóż, minister Krzak zabiera wszystko co wyprodukują, jakby byli co najmniej Hutą Katowice. Traktowani są jak Wielki Przemysł, ale tylko w przypadku podatku dochodowego. Wtedy nikt nie zwraca uwagi, że przerabiają towar ze śmietnika.

Marzyła im się przy ulicy Ustronnej sortownia i pralnia z prawdziwego zdarzenia; w trzy lata wydali tam raptem 10 milionów złotych. Dziś mogliby z własnych środków kończyć tak potrzebną inwestycję, ale po prostu brakuje forsy. Rachunek jest prosty: na budowę potrzebują 400 milionów, w tym roku niby wypracują te 135 milionów zysku, ale do podziału zostanie praktycznie 35, bo około 100 milionów odprowadzić muszą do budżetu. Tak, tak — jeśli rentowność rośnie, to podatek dochodowy, niestety, jeszcze szybciej. Przy rentowności w granicach 60 procent, podatek sięga już 90 proc. zysku. I z resztą nie bardzo wiadomo co robić. Wystąpili w tej sprawie do Urzędu Gospodarki Materiałowej, ale prawdę powiedziawszy nie bardzo wierzą by to coś zmieniło.

Toteż ludzie z „Surowców” odchodzą. Obecnie łódzkie przedsiębiorstwo zatrudnia 910 ludzi, a dwa lata temu było ich jeszcze 1100. Oni też umieją liczyć: średnia płaca za pierwsze, tegoroczne półrocze wynosi w granicach 7100 zł. I to głównie dzięki temu, że 80 proc. pracuje w akordzie...

I znów „kółko graniaste, czterokanciaste”: pieniądze są, mogłaby firma więcej płacić, ale trzeba by się opodatkować na słygnąć już fundusz aktywizacji zawodowej. A to oznacza, że znów pozbyliby się środków na rozwój przedsiębiorstwa. Nawet wyliczono dokładnie: aby podnieść płace o ok. 1,5 tysiąca złotych na głowę, to za pięć miesięcy musieliby na konto owego funduszu „odprowadzić” półtora miliona. W przyszłości więcej bo później też zaczyna się progresja. A ze wspomnianych na początku tegoż wywodu 35 milionów zysku będą jeszcze musieli (na piśmie jeszcze nie dostali, ale już wiadomo) „odprowadzić” 30 procent — jako podatek stabilizacyjny.

No, nie ma słodka, panowie. A wszystko dlatego, że w fiskalnej nomenklaturze występują jak równy z równym obok największych gigantów naszego przemysłu. I zaraz w tym miejscu rodzi się myśl: czy nie warto potraktować „Surowców” właśnie jako przemysł surowcowy (wydobywczy)? Wszak odzyskują, przerabiają i sprzedają tenże. Wszędzie zaś, na całym świecie istnieje zasada, że im bardziej brudna, niewdzięczna robota — tym lepiej płatna. W Bułgarii „szmaciarze” znaleźli się w grupie przemysłów surowcowych, płace są tam potężne, a nie tak znów dawno ci sami Bułgarzy uczyli się od nas jak surowce zbierać i przetwarzać.

Zanim przejdziemy do hasła związanych ze zbiorczą makulaturą (nie, nie, to był tylko żart...), przyjrzyjmy się, jak też wygląda u nas organizacja skupu, czyli system, który wyparł „śmota”. Łódzka firma posiada 12 dużych oddziałów skupu i około 80 agencji punktów detalicznych. Po wielu, wielu latach, z dniem 1 lutego br. wprowadzono wreszcie zmianę zasad płacy agentów (może jednak lepiej zabrzmi — agentów). Zamiast ustalonej prowizji zastosowano reguły obowiązujące w handlu detalicznym. Każdy agent funkcjonuje pod ich szyldem, płaci za to, ale zarobki zależą w ogromnym stopniu od jego inwencji. Ustalono minimalną cenę skupu dla agenta i maksymalną cenę, po której od niego firma odkupuje towar w zależności od rodzaju, czystości, sposobu przygotowania.

AGENT JEST SAMODZIELNY

może prowadzić swój interes w pewnym stopniu z pominięciem zakładu. Może sprzedać złom do huty nawet, czy butelki do „Polmosu” — otrzymuje wówczas cenę zbytu. Prosty przykład: minimalna cena w skupie jednego kilograma makulatury — 4 złote, „Surowce” zapłaci mu maksymalnie 8,50 zł, a bezpośredni odbiorca — średnio 11 zł. Agentowi się opłaca, a firma ma z głowy sortowanie, składowanie etc. Oczywiście, są umowne wielkości, które musi zebrać. W przeciwnym razie nie zbierał by w ogóle na przykład szmat czy tworzyw sztucznych, bo tego towaru nie może bezpośrednio sprzedać. Forma ta funkcjonuje — jak dotychczas — znakomicie. Dodajmy — w powiązaniu z handlem wymiennym, o którym za chwile.

Dlaczego zdecydowano się na taką „rewolucję”? Do dnia 1 lutego agenci działali „na marży”. Nie mieli żadnej motywacji — ani do zbierania, ani do odpowiedniego przygotowania swych zbiorów. Ten system likwidował skutecznie dobre zamiary. Przychodzili więc często ludzie, którym głównie zależało na stempelku w dowodzie, że pracują. A była to przykrywka; ponad połowa agentów nie zarabiała nawet średniej minimalnej płacy i... nie reklamowali tego faktu. A działali się różne rzeczy — z

pijatykami i wynajmowaniem barakowozów na wesołe cele wczasy. Tylko kilku zarabiała powyżej 10 tysięcy (co dziś jest zasadą), ci akurat chcieli pracować. Ale też ścigali towar z biur, sklepów, jeden obsługiwał „Central”, to mu makulaturę firmowym wozem przywożono. Teraz niektóre takie metody są już formalnie dozwolone: agent ma wyszczególnione w umowie, z jakich źródeł nie może korzystać.

Gdzie pracują? Na palcach jednej ręki można policzyć wędrowników, którzy jeszcze kursują śladami „śmota”, choć już używają wyłącznie koni mechanicznych. Większość siedzi na swym królestwie. Korzystają albo z własnych pomieszczeń, czasem produkują się w stałych pawilonach, częściej w lokalach, które władze terenowe łaskawie przydziela, wreszcie — w barakowozach. Te ostatnie — efekt radośnej twórczości z lat minionych, mają być powoli wycyfrowane (brak światła, ogrzewania) i ewentualnie wykorzystywane wyłącznie na nowych osiedlach. Planuje się, by w najbliższej przyszłości jeden punkt skupu przyspadał na 10–15 tysięcy mieszkańców (dziś, wspólnie ze spółdzielnią „Surowiec”, jeden wypada na ponad 30 tysięcy).

Lekceważący w gruncie rzeczy stosunek do „szmaciarzy” obowiązuje nadal. Są dobrzy, gdy ktoś wpadnie na kolejne „Lektury z makulatury”, a na co dzień? Władza terenowa niechętnie na ogół odstępuje jakieś lokale w myśl zasady: „no, butik — owszem, ale na szmaty?”. Bodać od 1924 roku obowiązuje poza tym taki niezyciowy, drobny przepis ministra zdrowia, sugerujący tak zwane strefy ochronne i stosowne odległości od domostw. W mieszkaniu możesz trzymać szmaty pod łóżkiem, śmietnik (pomijając perfumy czyli zsyropy) wystarczy by znajdował się 15 metrów od budynku, ale punkt skupu? Minimum 50 lub 100 metrów. A Sanepid zna ten przepis i skrzętnie go wykorzystuje. A teraz czas już chyba wspomnieć o arcyciekawej formie

działania punktów skupu, czyli dobrze znanej od wieków zasady

GARNKI ZA GALGANY

Tu godzi się wspomnieć, że tych złotych to dostawca surowca nigdy za dużo nie otrzymywał, nigdy nie stanowiło to rzeczywistej zachęty, a już antybodytem stał się odkrywczy na drugiej połowie lat siedemdziesiątych kurek z pieniądza. Za kilogram makulatury dostawał młodzieniec 2 złote, co mu nie wystarczało nawet na łódzkie Carpię. Im więcej wytwarzało się luk zaopatrzonych, tym częściej w „Surowcach” przemysłowano czy by, nie wykorzystując tego nieco niesprawności handlu — nie reaktować starej, dobrej formuły: „garnki za galgany”, czyli handlu wymiennego. Po rozmowach ze „Społem” rozkreślono najpierw tego typu obwozywny interes na wsiach. Potem ktoś wpadł na pomysł, by zaryzykować w mieście. I tak ruszył w listopadzie 1980 roku pierwszy w kraju punkt przy ulicy Rzgowskiej 216 w Łodzi. Daleko od centrum, ruchu początkowo nie było, agent robił obrót w granicach 6 tysięcy. Ale gdy od lutego br. wprowadzono wspomniane wyżej zasady — przekracza 15 tysięcy. Na takim zadupiu — jak twierdzą zawiśnię.

Zaczęto szukać towarów — czego w sklepach brakowało, niech będzie w punktach skupu. Schabu i krakowskiej dziś też nie mają, ale przekonali wszystkich, że jednak można — prozaicznym papierem toaletowym, którego nie brakuje w żadnym z 20 punktów handlu wymiennego, działających na terenie pięciu województw. Jest welwet i „tekstas”, co prawda jakieś niepełnowartościowe odpady metrażowe — ale są, a w handlu nie uświadczysz na półkach. Jest wreszcie cała gama artykułów gospodarstwa domowego, a w obecnej, ogólnokrajowej biedzie — powiedzmy to sobie otwarcie — jest to jedyna faktycznie możliwa aktywizacja skupu. Starych, dziesięć razy łatanych bawelnianych koszul czy bluzek nikt do skupu nie przyniesie, ale gdy można zamienić je na kupon sztruksu?

Najpierw praktykowano złotówka za złotówkę, później, gdy gama towarów powiększała się coraz bardziej, zmieniono relację: za surowiec wart 1 złotówkę otrzymujesz w wybranym towarze 2 złote.

Jak grzyby po deszczu zaczęły wyrastać w kraju podobne punkty „usługowe”. Niektóre województwa szły na całość, wydzielano stosowne stoiska w sklepach, domach handlowych, a nawet... kioskach „Ruchu”. I to był chyba błąd, którego w Łodzi uniknięto: stoi na półce parę butli gazowych, a ja jednej, cholera, nie mogę kupić, bo to za makulaturę! No kłuje w oczy po prostu. A poza tym lepiej sprzedawać w swoich punktach, bo firma „łapie” wtedy marżę detaliczną...

Ech, było i winko w punktach skupu! Wszystkie wydawały talony (za 10 kilogramów makulatury lub 5 kilogramów szmat) młodzieńca dostawał forsy, talon i szedł do jednego z pięciu wydzielonych punktów, a tam półki pełne bełtów. Ale ruszyło się Towarzystwo Antyalkoholowe, krzyk się podniósł, że młodzież rozpija. Dla świętego spokoju wycyfano się z tej formy sprzedaży i nie przekonał nikogo fakt, że jeden z drugim zanim wino kupi, to zamiast miłocić się przed sklepem spożywczym, gdzie i tak je wywalczy, pójdzie i na strychu trochę starych gazet poz zbiera.

Godzinami można by jeszcze rozprawiać o blaskach i ciemnościach „Surowców”. Głównie jednak o cieniach dnia codziennego, bo te dominują. O własnej produkcji (doskonałe materace, poduszki, poszukiwane szoski, tarcze polerskie z sukna), o braku „zielonych” na zakup niezbędnych części zamiennych do maszyn, których stan i wiek też jest wyznacznikiem ich uznania w kraju, o przymiarkach do handlu oponami („lyse” na bieżniowane). Zakończmy jednak naszą skromną z konieczności opowieść jednym jeszcze tylko przykładem, ale jakże charakterystycznym dla ich codziennego życia.

Na początku 1982 roku przemysł papierniczy zażył sobie takie ilości makulatury, że nijk nie było możliwości metodami tradycyjnymi ściągnąć ich od ludzi. Rozkreślono więc wspomniany handel wymienny. Interes kwitnie, ale dla odmiany 4 największych odbiorców surowca (m. in. zakłady w Świeciu i Jędrzejnie)... wstrzymują odbiór. I cóż robić? Magazynować nie ma gdzie, ograniczać skupu też się nie powinno, bo później latami będzie się ludzi do zbioru namawiać. Wystąpiono do Centrali Handlu Zagranicznego z propozycją eksportu makulatury (w latach siedemdziesiątych eksportowaliśmy nawet po 70 tys. ton rocznie). Specjalistyczna centrala „Paged” zaproponowała cenę 3 złote za 1 kilogram. Cóż, można i tak, tylko że w punkcie skupu każdy za kilogram otrzymuje minimum 4 złote.

NR 23 (1276) ROK XXV 10 WRZEŚNIA 1982 R.

1 Zdarzenia i zwierzenia

Humor sprzed lat

Przypominając dzieje łódzkiej prasy, przypomnijmy pismo, które z całą pewnością ustepuje innym pod względem ambicji i poziomu, ale jest o-
wiane atmosferą skandalu i — co ważniejsze — nie było efer-
merydą, lecz ukazywało się w
Łodzi przez równe dwadzieścia
lat. Chodzi oczywiście o „Wol-
ną Myśl. Wolne Zarty” — cza-
sopismo, które miało opinię
jednego z najbardziej porno-
graficznych pism w Polsce.

Zaczął się skromnie we
wrześniu 1919 roku od „Kaci-
ka satyryczno-humorystyczne-
go” na ostatniej stronie wy-
dawnictwa polityczno-społecz-
no-literackiego, pt. „Wolna
Myśl”. Rychło jednak punkt
ciężkości przesunął się z „wol-
nej myśli” na „wolne zarty”
i już w roku 1921 wydawca,
Edmund Kokorzycki, zmienia
tytuł i szatę graficzną.

Łódź, pozbawiona przez wie-
le lat czasopisma humorysty-
cznego, przyjęła nowe pismo
z życzliwie i nakład tygodnika
dochodził do 30 tysięcy egzem-
plarzy, co było w owym cza-
sie ilością zawrotną. W roku
1926, po śmierci Edmunda Ko-
korzyckiego, przejął wydaw-
nictwo jego żona Helena, któ-
ra prowadziła je do roku 1939,
tworząc koncern pism tego ty-
pu („Adam i Ewa”, „Wesoly
Bocian”, „Hi, Hi, Hi...”), w któ-
rych przeważał element sensa-
cji erotycznej. Była to oczy-
wiście erotyka i pornografia
na miarę lat dwudziestych i
trzydziestych. Nas dzisiaj ra-
czej śmieszy niż podnieca.

I jeszcze jedna uwaga. Cza-
sopismo przestało się ukazy-
wać w roku 1939, ale nie ma
to nic wspólnego z wybuchem
wojny. Otóż pornograficzny
charakter „Wolnej Myśli. Wol-
nych Zartów” powodował co-
raz liczniejsze konfiskaty, aż
wreszcie doprowadził w
kwietniu 1939 — do ostatecz-
nego zamknięcia pisma. „Wol-
ne Zarty” w ogóle preferowa-
ły dowcip raczej... posłankowy,
jak w tym wierszyku:

Na widok twej postaci
Drży człowiek, piesek i kot
A wszystko to dlatego
Ze pski ci z tyłu trykot.

Ze szczególnym jednak upo-
dobaniem drukowano w „Wol-
nych Zartach” rubrykę pt.
„Omyłki w druku”. Lecz i tu
pornografii trudno się dopa-
trzeć, raczej wulgarność wal-
czy o lepsze ze złym smakiem.

Ze stron „Wolnych Zartów”
— niestety — wieje nudą. O
poziomnie lepiej nie wspominać.
A przecież wśród anonimowych
autorów pisma zdarzały się
także nazwiska, które coś tam
znaczyły. Drukował tu na
przykład Benedykt Hertz oraz
— nader często — znany po
wojnie satyryk Bogdan Brze-
ziński. Filarem pisma był jed-
nak Roman Hertz — autor
nudnych i ekliwicznych wierszy-
ków, który w pamięci potom-
nych nie zapisał się żadnym
poprawnym chociaż utworem.

Wśród rysowników natomiast
najczęściej spotykamy prace
Wacława Lipińskiego, niezją-
cego już dziś artysty-cygana,
człowieka o ogromnej kulturze,
który zajęcie w piśmie pani
Kokorzyckiej traktował wyła-
cznie merkantylnie. Lipińskie-
go poznałem w latach sześć-
dziesiątych, opowiadał mi
wówczas, że największą zaletą
pani Kokorzyckiej było to, że
płaciła od ręki. O pomysły
rysunków też się Lipiński —
który głównie robił okładki —
nie musiał martwić: po prostu
były to ilustracje odpowied-
nie wierszyków. Natomiast
większość rysunków przedru-
kowano z prasy wiedeń-
skiej.

Na koniec warto jeszcze do-
dać, że choć pełny tytuł pisma
brzmiał „Wolna Myśl. Wolne
Zarty”, to układ graficzny
winiety tak pomyślano, iż

eksponował drugi człon tytułu.
Było to jawne nadużycie, po-
nieważ w połowie XIX wieku
ukazywał się w Warszawie
dwutygodnik satyryczny o ty-
tuł „Wolne Zarty”. Było to
pismo na wysokim poziomie,
założył je wybitny historyk li-
teratury Fryderyk Lewenstein,
a głównym ilustratorem był
słynny Franciszek Kostrzewski,
badał najwybitniejszy kroni-
karz XIX-wiecznej Warszawy.

Łódzkie „Wolne Zarty” prze-
szły natomiast do historii pra-
sy jako pismo prymitywne,
adresowane do warstw niewy-
kształconych. I to było drugie
— poważniejsze chyba — na-
dużycie wydawców. Zamiast
bowiem podjąć choćby próbę
edukacji swoich niewykształ-
conych czytelników — zerowało
na ich niskim poziomie, epatu-
jąc wulgarnością i niewybred-
nym żartem.

Myślę jednak, że warto było
przywołać te zakurzone szpal-
ty piśmka, które prosperowa-
ło w Łodzi całe dwadzieścia
lat. Prasa jest bowiem zwier-
ciadłem życia — takie było to
życie w łódzkim tyglu, gdzie
obok ambicji i pasji społeczni-
kowskich — obok pism na
wysokim poziomie — spoty-
kało się gazety, których jedy-
nym celem było przynosić do-
chód wydawcom. Za wszelką
cenę.

JERZY
WILMAŃSKI

2 Spojrzenie znad szachownicy

Ruch w imieniu „Ruchu”

Tekstem tym narażę się
wszystkim, moim kolegom
dziennikarzom najbardziej, chcę
się bowiem wylać z jedno-
litego frontu, zalecającego czy-
nienie z „Ruchu” tak zwanego
„chłopca do bicia” i obarczania
go wszelkimi możliwymi grze-
chami, jeżeli się da, to i wła-
snymi również.

Istotnie „Ruch” — pełna na-
zwa instytucji, o czym niemal
zapominano, brzmi zresztą
PUPIK „Ruch”, czyli Przedsię-
biorstwo Upowszechniania Pra-
sy i Książki „Ruch” — pracu-
je niezbyt świetnie, ma jednak
tego świadomość i pewne raczej
na swoją obronę. Postawiony
z dnia na dzień w sytuacji, gdy
„rynek wydawczy” — głównie
dzięki poważnej wyższej cenie i
czasopism — przemienił się
nagle w „rynek czytelnika”,
„Ruch” stanął też w obliczu
konieczności przebudowy wła-
snych struktur, a przede wszyst-
kim wobec konieczności zmia-
ny systemu motywacyjnego.

Jeszcze nie tak dawno gazy-
ty sprzedawały się spod łady,
a najpopularniejszymi tygodni-
kami wręcz można było speku-
lować i należało z tym nara-
stającym zagrożeniem walczyć.
Opóźnienia w dostawach tygo-
dników nie miały żadnego zna-
czenia, opóźnienia w dostawach
gazet codziennych — obojętne,
zawinięte przez same redakcje,
drukarnie czy przez dystrybu-
torów, czyli „Ruch” właśnie —
odbijały się wprawdzie w ułam-
kach procentów zwrotów, ale w
budżecie przedsiębior-
stwa nie miało to żadnego
znaczenia. Do taniej prasy i tak
się dokładało, na wszystkim
innym — zarabiano, no i jakoś
to szło.

I nagle taka zmiana! Wielu
towarów w kioskach „Ruchu”
wprawdzie zabrakło, prasa po-
drożała, a więc prowizja za
rozprowadzanie prasy też wzro-

sła, mimo wszystko handel
prasą wciąż jest sumarycznie
nieopłacalny, bo taki transport
też przecież więcej kosztuje niż
ongis, natomiast handel biletami
tramwajowymi czy papiero-
sami — przynosi zyski. A
potem przychodzi jakiś tam
Jerzy P. czy inny nudziarz, aby
pomarudzić, że latem na Su-
walszczyźnie nie widział „Od-
głosów”, bądź że tak zwane
nadziały gazet na kioski nie
są dość precyzyjne. No nie są
i długo jeszcze nie będą,
„Ruch” gra bowiem takimi
kartami, jakie dostał do ręki.

2.

Prócz szachów wznaję się
trochę na brydżu, zajrzałem
przeło w te karty i widzę, że
są liche.

Niedawno wyklócałem się z
ZAIKS-em w imieniu całej
prasy, teraz zaczęła się wykló-
cać z całą prasą w imieniu
„Ruchu”, choć — dodając śpie-
sznie — nikt mnie o to nie
prosił i nikt mnie do tego nie
upoważnił. Bez upoważnienia
spróbuję jednak zrobić ruch w
imieniu „Ruchu” na polemice-
nej szachownicy.

Rachunek wygląda tak.
Przedsiębiorstwo otrzymuje 27
proc. marży od ceny sprzeda-
nej gazety bądź czasopisma, ale
jednocześnie obciążone jest po-
łową kosztów każdego numeru
nie sprzedanego; drugą połowę
kryje wydawca. Innymi słowy,
za sprzedany numer „Odgło-
sów” może sobie „Ruch” wli-
czyć w zyski 5,40 zł, ale za
nie sprzedany — buł 10 zło-
tych.

W tej sytuacji choćby dyrek-
cje poszczególnych oddziałów
„Ruchu” stawały na głowie,
chciały być operatywne, mile,
powszechnie kochane przez re-
daktorów naczelnych i chwalo-
ne na każdej naradzie, coś, co
niezbędnie precyzyjnie nazwałbym
„oporem materiału”, zaczęły
im nieuchronnie w tych śmia-
łych poczynaniach przeszkad-
zać.

3.

Inny jest rachunek wedle
potrzeb Czytelnika, a także
propagandy, inny — wedle
myślenia ekonomicznego. Czy-
telnik kontent jest, gdy może
wybrać między tytułami, teo-
retyk chętnie przyzna, że do-
stępność i tematyka różno-
barwności prasy jest zjawiskiem
pożądanym społecznie, nato-
miast ekonomista — a nawet
byłe przekupka — bez trudu
wykoncypują, że lepiej jest za-
rabiać niż tracić.

Jeżeli więc nawet — powta-
rzam uparcie — dyrekcje po-
szczególnych oddziałów „Ru-
chu” wezmą na ambit i zaczę-
ną się licytować w mnożeniu
i wprowadzaniu nowatorskich
pomysłów organizacyjnych, z
szafy głównego księgowego
wcześniej czy później wyłże
paskudny, króciutki na głębie
diabeł i zacznie szeptać tak
mniej więcej:

— Dyrekcjo kochana, ty
wiesz i ja wiem, że mamy re-
formę gospodarczą. Ty wiesz
i ja wiem, że są pisma — ot,
choćby „Przegląd” czy „Mo-
tor” — które i dziś jeszcze
sprzedaje się „do spodu” i bez
ryzyka. Ty wiesz i ja wiem,
że są inne, które sprzedaje się
może nie do spodu, ale nieźle.
Ot, choćby „Polityka” czy
„Przekrój”. A w Łodzi — przy-
puszczam — może, że szepce to
łódzki diabeł, daleki pociołek
Boruty — po poprawieniu ter-
minowości druku bardzo dobrze
sprzedaje się „Głos Robotni-
czy”, a skoro tak, to można za
jednym zamachem rozwozić i
„Dziennik”. Ale już „Express”
wychodzi o takiej głupiej po-
rze...

— A kys! — krzyczy dyrek-
cja i diabeł znika. Nazajutrz
jednak wyłazi znowu i dalej
kusi:

— Zgoda, niech będzie „Ex-
press”, rozumiem, popołudniów-
ka, tradycja i te rzeczy. Ale
po diabła kochanej dyrekcji to
różne tygodniki? Wyłożę tego
w kiosku nie sposób, ludzie
kupują niby, ale nie wszyst-
kiego po równo, a za to, czego
nie kupia, kochana dyrekcja
płaci. Nie lepiej byłoby mieć
pięć, sześć, no dziesięć czy na-
wet piętnaście tytułów? A do
czorta z innymi, już ja się tym
talatąjstwem zajmę, zaś dyrek-
cja, mówiąc między nami, be-
dzia miała po prostu mniej
kłopotów...

Dyrekcja milczy, bo co się
tam z byle diabłem wyklócać,
ale ziarno zostało już zasiane.
Przyjęty obowiązek upowsze-
chniania prasy pozostaje obo-
wiązkiem, rachunek strat i zys-
ków — rachunkiem. Jak więc
to ze sobą pogodzić, jeżeli w
ogóle pogodzić można?

JERZY P.

3 Lewym okiem

Jain

W ostatnich latach, w dzien-
nikarskim języku Zachodnich
Niemiec zrobiło karierę za-
bawne słowo, którego nieste-
ty nie można wprost przetłu-
maczyć, ale które spróbuję
opisać.

Otóż wiadomo, że „tak” po
niemiecku mówi się „ja”, a
„nie” — „nein”. Z tych dwóch
słów zrobiono jedno: „jain”.
Wymawia się je z wahaniem
po środku: „jaa.ein”, jako że
ten co się nim posługuje go-
tów jest potwierdzić usłysza-
ną tezę czy też pozytywnie
odpowiedzieć na postawione
mu pytanie, potem — zaraz
po otwarciu ust — zaczyna
wątpić w zasadność tego po-
twierdzenia, może widzi w tym
jakieś ryzyko, może żałuje, że
w ogóle musi zabierać głos — i
asekurancko kończy czymś ta-
kim, co można uznać za prze-
czenie. Potwierdza i zaprze-
cza. Mówi i nie mówi. Dwie
absolutnie sprzeczne postawy
w jednym — hybrydycznym
słówku.

Potworek „jain” stał się tak
modny — co możemy uznać
za przejaw szerzenia się w ży-
ciu publicznym postaw aseku-
ranckich, kunktatorskich, dwu-
znacznych — że znalazł się w
„Podręcznym słowniczku dla
obywateli i czytelników ga-
zet” (Edgar Traugott — „Schla-
görterbuch für Bürger und
Zeitungsleser” Freiburg 1980).
Słowniczek zawiera 82 „od-
czarowane hasła” (Entzauberte
Parolen) od „Agression” (ak-
cesja) do „zeitgemäss” (ak-
tualnie) i każdemu z nich po-
święca krótką, po liberynsku
dowcipną rozprawkę. Wiele z
nich miałbym ochotę zaczy-
tać. Czy wiecie na przykład,
do czego można sprowadzić
definicję „wojny wywołanej-
czej”? Według Traugotta, po
skrytykowaniu i odrzuceniu
jako niefortunnych paru defi-
nycji próbnych, pozostaje taka
— dość cyniczna: „Wojna wy-
wołana jest to wojna, w
której siła nie posiadająca
bomby atomowej przy popar-
ciu siły, posiadającej taką
bombę, atakuje swego sąsiada;
nie muszą to być przy tym su-
werenne państwa; wystarczą
grupy emigracyjne, terrory-
styczne, infiltracyjne, uznane
przez wielkie mocarstwa”.

Słowniczek zawiera także
hasło „Jain”. Oto fragmenty z
legendy do tego hasła:
„Aż do naszego pokolenia ist-
niało wiele różnych sposobów
nadania odpowiedniej mocy
własnym wypowiedziom. Mo-
żna było z wyjątkiem głosić swo-
je zdanie, ale można było także
powtarzać je wielokrotnie, za-
pewniać słuchaczy, zaklinać,
sypać dowodami, czynić swe
słowa wiarygodniejszymi re-
torycznie i bardziej trafiającymi
do przekonania.

Dziś wystarczą tylko „wy-
chodzie z założenia”. Cóż za
jako Kolumba! Jakże kuszą-
cym jest ten zwrot: „wychodzę
z założenia, że...” — już przez
samą swą skromność! Nie chcę
o niczym zapewniać, dowodzić,
przekonywać, wystarczą gdy
po prostu, skromniutko przy-
znam się do toku swoich wła-
snych myśli, nie potrzebuję
przy tym wcale podejmować
próby narzucenia tych myśli
słuchaczom.

Jeśli ktoś jest tak skromny
i w dodatku formułuje swą
wypowiedź w trybie warunku-
wym, przypuszczającym — to
nie można oczekiwać, że w
końcu wygarnie coś całkiem
niezwykłego. Przeciwnie, on
sam jak gdyby zakłada w do-
myśle, że powie tutaj coś, co
myślą także wszyscy inni. I

rzeczywiście przekonuje się
później, że jego cytoryka była
sluszną, bo niepostrzeżenie zro-
biła z niego rzeczniczkę opinii
publicznej, któremu nikt nie
odważy się przeciwstawić.”

„Oczywiście, sprawa ma
dwie strony. Jeśli ktoś posłu-
gując się zwrotem „Wychodzę
z założenia, że...” odnosi su-
kcesy, to owym zwrotem posłu-
ży się również ktoś inny, tak-
że ktoś mający zupełnie prze-
ciwne zdanie o roztrząsanej
kwestii. No i dobrze. Przynaj-
mniej tak zwane Prawdy Na-
szego Czasu głoszone są jak
Ewangelie, ale nie przy pomo-
cy prostych słów: „Tak-tak”,
„Nie-nie”, jak to czyniły praw-
dziwe Ewangelie, tylko skrom-
niej: „Chciałbym powiedzieć,
że...” „Wychodzę z założenia,
że...”

Czyli właśnie: tak-nie. Jaa.
ein...

WŁODZIMIERZ
KRZEMIŃSKI
(CWIĘK)

4 Sport

A mnie za- czyna to już nudzić

Przyznaję się do tego bez
żenady. Zaczyna mnie już nu-
dzić ten cały szum wokół „ta-
jemnic Mundialu”. Czy to do-
brze, że w Hiszpanii było „ści-
ste krycie”, czyli na 22 za-
wodników pojechało 22 czło-
nek ekipy jako osoby towa-
rzyszujące? Czy to dobrze czy
złe, że zabrakło miejsca dla
lekarza fizjologa, dr. Jerzego
Wilkozyńskiego? Czy gdyby
był ów lekarz, to Waldemar
Matysik trafiłby po Mundialu
do szpitala, z którego do dziś
jeszcze nie wyszedł, czy by nie
trafił? Dlaczego Andrzej Iwan
był do końca w Hiszpanii, a
nie w szpitalu? Czy można
było załatwić hotel z klimaty-
zacją, czy nie? Dlaczego...

Pytań jest dużo. Odpowie-
dzi mniej. Wszystko to zaczy-
na już mnie nudzić, bo cała
ta rozmowa z PZPN zaczyna
przypominać rozmowę z dzie-
ci z obrazem. Obraz czyli PZPN
nawet nie milczy, owszem, od-
powiada, ale półgębkiem i tak
bardziej ogólnie, albo — jak
to się mówi — na okrągło. 31
sierpnia 1982 roku w progra-
mie pierwszym TyP nadano
sprawozdanie z konferencji
prasowej odbytej z działacza-
mi PZPN, którym przewodni-
czył prezes Włodzimierz Reczek.
Jedno z pytań dotyczyło tego,
ile to „zielonych” zarobił piłka-
rze w Hiszpanii. Działelnicy
nie powinni rozmawiać o pie-

niadach. Slusznie. Mnie to na
przykład nie interesuje, choć
jako kobieta nie podpadam
pod określenie: dzentelmen.
Ale innych interesuje. Więc i
przed kamerami TyP pytanie
takie padło. I padła odpo-
wiedź. Wymijająca. Prezes
Włodzimierz Reczek powie-
dział, że piłkarze dostali po
kilka tysięcy dolarów. Antoni
Piechniczek ujawnił, że za
wyjście z grupy było do po-
działu 40 tysięcy dolarów. A
ile było za wejście do finału
i za trzecie miejsce? Na ten
temat już nie było mowy, choć
Waldemar Krajewski — pro-
wadzący audycję telewizyjną
— próbował naciskać, ale dał
w końcu spokój. Mniejsza z
tym, choć podejrzewam, że
dopiero teraz zaczęły się plotki.
Ludzie będą sobie liczyli: i tak
i siak, tyle przez tyle, to daje,
a jak dodamy do tego, to
będzie... Jezul! Ale szmalu za-
łapał! I zazdrość gotowa. A
my przecież tak bardzo lubi-
my bezinteresowną zawiść.

Piłkarze ponoć zarobili na
cały sport. I mnie bardziej in-
teresuje, jak się te pieniądze
dla tego sportu podzieli. W
„Sportowcu” z 17 sierpnia 1982
roku wyczytałam, że polscy
niewidomi sportowcy — są ta-
cy! — nie będą mogli starto-
wać w mistrzostwach świata,
bo nie mają pieniędzy na za-
płacenie składki w Międzynar-
odowej Organizacji Sportu
Niewidomych, której to zresztą
organizacji wiceprezesa
jest Włodzimierz Kopydłow-
ski. Ile trzeba na to dolarów?
I tu się zaraz Drogi Czytelniku
przerazisz! Tylko dwa-
dzieścia pięć dolarów!!!
Wniosek w tej sprawie do
GKKFIS poszedł, ale nie ma
odpowiedzi. Więc jak to jest z
tymi pieniędzmi na cały sport?
Może raczej tym się zająć, a
nie liczyć, ile który piłkarz
zarobił.

Nudzić mnie już zaczyna ta
dyskusja o Mundialu, bo
PZPN obraził się na „Przebieg
Sportowy” za opublikowanie
wywiadu z Piotrem Mowli-
kiem, na Piotra Mowlika, że
go udzielił oraz na wszystkich
dziennikarzy, że włożyli czarne
okulary i widzą tylko wady
i niedociągnięcia, a nie chcą
widzieć sukcesów. W odpo-
wiedzi udzielonej temuż „Prze-
biegowi Sportowemu” przez
Prezydium Zarządu PZPN o-
minięto wszelkie drastyczne
pytania, sugerujące, że wszyst-
ko było w porządku, że były
trudności obiektywne, że trze-
ba się cieszyć sukcesem a nie
czepiać się tych, którzy w tak
trudnych warunkach ten
sukces przygotowali. Jakoś
nie może trafić do przekonania
działaczy prawda, że kryty-
czne uwagi o błędach i niedo-
ciągnięciach wynikają z troski
o przyszłość polskiej piłki no-
żnej, której reprezentacja sta-
nie właśnie (8 września) do
meczu eliminacyjnego do mi-
strzostw Europy i dobrze było-
by, aby trzecia drużyna świata
w eliminacjach tych nie
przepadła. Wysoka wygrana z
Francją niczego jeszcze nie
wyjaśnia. Antoni Piechniczek
nie ukrywa, że wszystko za-
czyła od nowa. Rozdział pod
tytułem „Espana 82” został już
zamknięty, ale miano trzeciej
drużyny będzie obowiązywało
jeszcze przez 4 lata. Drużyny,
której już nie ma.

Cieszymy się z sukcesu, ale
niech on nam nie przesłoni
prawdy o polskiej piśmie no-
żnej. A ta prawda jest złożona
i nie ujawniona do końca. An-
toni Piechniczek złożył rezy-
gnację, rezygnację przyjął w
PZPN, wyznaczono tymczaso-
wym zastępcą Edmunda Zien-
tare i oto „entliczek pentli-
czek” i wraca Piechniczek. Ale
dopiero po rozmowie z prze-
wodniczącym GKKFIS — Ma-
rianem Renke. Wynika z tego,
że źródło konfliktu tkwiło w
PZPN, do czego PZPN znów
nie będzie się chciał przyznać.

Antoni Piechniczek zgodził
się prowadzić polską reprezen-
tację piłkarską przez 3 lata.
Jak mu dobrze pójdzie —
wszystko wskazuje, że pójdzie,
bo buduje drużynę od nowa
— to może zrezygnować z jej
prowadzenia na rok przed ko-
lejnym Mundialem. Typowe.
Jak u nas komuś coś się uda-
je, natychmiast znajdują się bez-
interesowni zawistni. Sami
nie potrafia, ale i innemu nie
dadzą.

Coraz mocniej zaczyna nu-
dzić mnie ta głupia zabawa.

BOGDA MADEJ

Ostatni Dalaj Lama

Dokończenie ze strony 1

możliwy tylko wówczas, gdy się przekona, iż... 75 proc. Tybetańczyków czuje się szczęśliwymi pod rządami chińskimi. Dotychczas jednak — jak oświadcza w wywiadzie — takiego przekonania nie nabrali.

Tybet tkwiący w mrokach feudalizmu, a „wyzwolenie” przez Chińczyków, dzielił od reszty świata azjatyckiego całe epoki. Muzeum Rewolucji w Lhasie daje obraz niektórych ówczesnych praktyk rządów duchownych i świeckiej arystokracji. Oto na przykład są tam szkielety dzieci składanych bogom jako ofiary oraz głowy i kończyny obcinane przestępcom. Niektóre ekspozyty pochodzą jeszcze z lat pięćdziesiątych. Tybet nie miał elektryczności, wodociągów i kanalizacji. Prawie czwarta część ludności męskiej żyła w 8.638 klasztorach, wśród których klasztor Drepung skupiał 8.300 mnichów. W kraju panował system niemal niewolniczy — większość obszarów wraz z pracującą na nich ludnością należała do klasztorów bądź do rodzin arystokratycznych.

Jeszcze przed zwycięstwem rewolucji w Chinach, Mao Tse-tung zapowiadał przyłączenie Tybetu do Państwa Środka. Gdy więc w 1950 r. Panzen Lama (drugi w hierarchii przywódca tybetański) wystąpił do Pekinu z prośbą o „wyzwolenie” Tybetu, Chińczycy przysłali tu swe wojska. Niewielki opór sił tybetańskich został zgnieciony, a interwencje Dalaj Lamy XIV w ONZ pozostały bez rezultatu. Władze w Lhasie podpisały wówczas tzw. „porozumienie 17 punktów”. Przewidywało ono m. in. włączenie Tybetu do Chin i zagwarantowanie mu autonomii, zachowanie władzy Dalaj Lamy XIV, poszanowanie wiary i roli Kościoła oraz uzgadnianie wszelkich reform z ludnością.

Wnet Dalaj Lama XIV wybrał się do Pekinu (przebywał tam w latach 1954—1955) by wspólnie z Mao ustalić kierunki rozwoju tego regionu. „Żywy Bóg” panteonu lamaistycznego tak był oczarowany „wielkim przewodniczącym”, że na jego cześć ułożył ode: „O przewodniczący Mao! Twój blask i czyny dorównują czynom Brahmy i Mahasammaty, stwórcy Świata...”. Z prochińskim nastawieniem Dalaj Lamy XIV nie zgadzała się duża część ludności Tybetu, a zwłaszcza waleczne plemię Khampów. Skrycie też przygotowywano rebelię. W 1955 r. powstanie Khampów (dzięki pomocy Tajwanu i CIA) przybrało otwarty charakter. Znakomici jeźdźcy z tego plemienia dokonywali napadów na chińskie garnizony i wycinali ich załogi w pień. W cztery lata później siły oporu w Tybecie liczyły już 100 tys. partyzantów.

Kulminacja powstania nastąpiła w marcu 1959 r. W trwających trzy dni starciach zbrojnych zginęło około 5 tys. Tybetańczyków, a kilka tysięcy Chińczyków osadziło w więzieniach Khampowie uprowadzili Dalaj Lamę XIV — przez kilka miesięcy miejsce jego pobytu było nieznane, dopiero później ujawniono, że znajduje się on wraz z kilkudziesięcioma tysiącami uciekinierów tybetańskich w Indiach.

Walki Tybetańczyków przeciwko chińskim garnizonom trwały niemal do końca lat sześćdziesiątych. Wspomagali partyzantów głównie Amerykanie. Z chwilą jednak, gdy Henry Kissinger rozpoczął z Pekinem „diplomację ping pongową”, Waszyngton wycofał swe wsparcie dla Khampów. Odtąd też pojedyncze desperackie akty protestu Chińczycy łatwo tłumili. Oblicza się, że w walce partyzanckiej zginęło co najmniej 100 tys. Tybetańczyków.

Czy Tybet należał do Chin? — tę kwestię niełatwo rozstrzygnąć. Oficjalne związki obydwu krajów rozpoczęły się w 630 r., gdy ówczesny władca Tybetu Srong-tsan sgam-po poślubił chińską księżniczkę Wen-cz'eng. Ten związek małżeński otwo-

rzył Chińczykom drogę na „dach świata”, rozpoczęły się przemienne wpływy kultury chińskiej. Tybetańczycy twierdzą, że zawsze jednak byli samodzielnym państwem i że ulegli wielkiemu sąsiedowi dopiero w 1792 r., gdy chiński cesarz zmusił arystokrację tybetańską do uznania swego zwierzchnictwa.

Po upadku ostatniego cesarza chińskiego w 1911 r. Tybet ogłosił niepodległość. Republika chińska nie uznała jednak praw Tybetu do samostanowienia. Kuomintang zawsze też podkreślał, że Tybet stanowi nieodłączną część Chin. W pałacu Norbulingka w Lhasie Chińczycy urządzili stałą wystawę dokumentów udowadniających odwieczną przynależność Tybetu do Chin. Są tu listy cesarzy z dynastii Ming (1368—1664) i dynastii Chin, która upadła w 1911 roku, aprobując ze strony rządu w Pekinie zwierzchników lamaickich w Tybecie.

Dla lamaicyków śmierć nie jest końcem życia, wierzą bowiem w reinkarnację. Na tym narodzie ciąży jednak przepowiednia Dalaj Lamy XIII, według której Dalaj Lama XIV będzie ostatnim władcą tego kraju (obecny Dalaj Lama licząc poprzednie wcielenia ma już 624 lata, a faktycznie — 47 lat).

Ta wiara w odpowiedniego poprzedniego władcy jest tak silna, iż Dalaj Lama XIV w wywiadach podziela pesymizm swego poprzednika i głosi, iż w dalszym wcieleniu może stać się co najwyżej drzewem, doliną lub kamieniem.

Chińczycy od początku „wyzwolenia” Tybetu starali się skutecznie przekonać Tybetańczyków, że tylko oni mogą zapewnić im lepsze życie. Nie można jednak odmówić Pekinowi, że w ciągu 30 lat nie dokonano tu wielkiego postępu. Hanowie, jak mówi się o rdzennej ludności chińskiej, wydobyli kraj z ogromnego zacofania szerząc oświatę, troszcząc się o opiekę zdrowotną, likwidując olbrzymie różnicowanie społeczne i rozwijając gospodarkę. Dziś Tybet jest samowystarczalny w zakresie produkcji żywności i posiada ponad 200 małych oraz średnich zakładów przemysłowych, pokrywających najważniejsze potrzeby tego regionu.

Ale sinizacja niesła z sobą również ujemne skutki. Po roku 1959, w rezultacie „demokratycznych reform”, przekształcono klasztory w magazyny i spichrze, zakazano tradycyjnych obrzędów i kultów, chińscy kadrowcy, którzy przejęli władzę na wszystkich szczeblach, poczęli panoszyć się jak we własnym kraju. Szczytem arogancji wobec Tybetańczyków było — po nadaniu temu regionowi praw okręgu autonomicznego w 1965 roku — desygnowanie do składu Zgromadzenia Przedstawicieli Ludowych (parlamentu) 23 Chińczyków na ogólną liczbę miejsc — 37.

W okresie „rewolucji kulturalnej” ugrupowania lewackie niszczyły obiekty sakralne, poddawano torturom działaczy tybetańskich, opowiadających się za większą samodzielnością tego regionu, rozpoczęto przymusową kolektywizację i zmuszano do zawierania mieszanych małżeństw (chińsko-tybetańskich).

Okres intensywnej sinizacji Tybetu symbolizuje choćby struktura etniczna stolicy — Lhasy. Stanowi ona dwuczęściowe miasto, które oddziela niewidoczny mur. Tybetańczycy zamieszkują w starych dzielnicach, głównie wokół świątyni Zokang, natomiast Chińczycy we wschodniej części stolicy, najczęściej w niskich domkach otoczonych wysokimi murami.

Choć Chińczycy przyznali się do błędów, to jednak wciąż przy różnych okazjach Tybetańczycy manifestują swoje niezadowolone z wielu praktyk Pekinu. Tak na przykład w lipcu br. gdy po kilkunastu latach odwiedził Lhasę Panzen Lama (przez długi okres przebywał na reedukacji w Chinach za krytykę Pekinu), tysiące wiernych przyjmowało go w pielgrzymce na kolanach. Oficjalnie też stwierdzają Chińczycy, że nadal w Tybecie rozwijają działalność elementy kontrrewolucyjne i ugrupowania separatystyczne.

Od czterech lat Pekin prowadzi „kampanię uśmiechów” pod adresem emigracji tybetańskiej. Parokrotnie ogłaszano amnestię dla tysięcy uwięzionych rebeliantów (z roku 1959 i lat późniejszych), udzielono w ich kilku grupach działaczy emigracyjnych oraz podjęto szczególne zabiegi o względy Dalaj Lamy XIV. Wszystkim, którzy zachcieli powrócić, Pekin obiecuje stanowiska i odpowiednie warunki materialne.

Przywódca tybetański wciąż jednak podkreśla, że 6 milionów jego rodaków ma pełne prawo, by traktowano ich jako istoty ludzkie, by mogły korzystać ze swobód, zwłaszcza w zakresie religii. Zdaje sobie jednak sprawę z tego, że nie ma powrotu do sytuacji, jaka była przed wkroczeniem Chińczyków, ale żąda by socjalizm, jako ustrój najbardziej sprawiedliwy, uwzględnił racje etniczne i dążenia narodu. Ostatnio w sformułowanych przez Dalaj Lamę warunkach znajdują się przede wszystkim dwa punkty: inkorporacja do Tybetu wszystkich obszarów zamieszkałych przez ludność tybetańską (określone autonomiczne jest znacznie

okrojony) oraz zapewnienie Tybetowi takiego statusu, jaki Pekin obiecuje Tajwanowi, tzn. całkowita autonomia wewnętrzna, własne siły zbrojne i możliwość utrzymywania kontaktów z zagranicą.

Chińczycy przyznawszy się do fiaska swej polityki wobec Tybetu, ogłosili deklarację, która ustala nowe zasady traktowania tego autonomicznego okręgu. A oto niektóre ważniejsze postanowienia: w polityce kadrowej należy oprzeć się głównie na narodowych kadrach tybetańskich, wszystkie decyzje i posunięcia muszą mieć poparcie miejscowej ludności, nie wolno ślepo naśladować doświadczeń z innych rejonów Chin, a jeśli jakieś decyzje władz centralnych nie są dostosowane do konkretnej sytuacji w Tybecie, miejscowe władze mogą je realizować w zmienionej formie, bądź w ogóle je odrzucić, zezwala się na prywatne posiadanie ziemi (jest to novum w Chinach), chronić się będzie wszelkie zabijki, kadrowcy chińscy muszą się uczyć języka tybetańskiego itp.

Wiele wskazuje, że nowe kierownictwo chińskie zamierza przestrzegać tych ustaleń. I choć nie wystarczą to tybetańskiej emigracji, to jednak już wyraźnie zbliżają się obydwie strony w kwestii przyszłości tego obszaru. W niedawnych wypowiedziach Dalaj Lamy XIV można wyczytać, że socjalizm staje się jedynym ustrojem mogącym wprowadzić Tybet ze średniowiecza w czasy współczesne, że komunizm jeśli nie oznacza przymusowej sinizacji, potrafi lepiej troszczyć się o społeczeństwo niż inne ustroje.

Zmiany dokonane w Tybecie mają charakter nieodwracalny. Emigracja tybetańska o tyle więc spełnia pozytywną rolę, że wciąż daje wszystkim Tybetańczykom nadzieję, iż przetrwanie odmienności historii, religii i tradycji tego obszaru. Czy zdolna byłaby osiągnąć więcej? Paradoxy chińskiej polityki sprawiają, że zależy to tylko od dalekosiężnych celów, jakie ona sobie stawia. Jeśli okrąg autonomiczny miałby być przykładem dla Tajwanu, który Pekin pragnie przyswajać, Tybet mógłby na wiele jeszcze liczyć.

HENRYK SROCZYŃSKI



Analfabetyzm i to — gdzie?!

Brzmi to jak sensacja lub jak wymysł niewybrednej propagandy, a jednak jest najzupełniej prawdziwe i gruntownie udokumentowane. Wład za poczynnym zachodnim tygodnikiem o międzynarodowej renomie przytoczył nam najpierw kilka faktów, a ściślej przedstawia kilka osób, będących bohaterami reportażu.

Oto 26-letni pomocnik budowlany, zatrudniony przy montażu. Kartę obywatelską studiując tylko dla zachowania pozorów, bo w rzeczywistości zamawia zawsze tylko to, co widzi u innych na talerzu.

Oto 29-letni dekarz, który przed załatwianiem sprawy w urzędzie bandażuje sobie prawą dłoń, a potem prosi urzędnika o wypełnienie formularza, a kiedy indziej każe sobie przeczytać tekst, ponieważ „zapomniał” okularów, albo też twierdzi, że w tej chwili nie ma czasu i zabiera druk do domu, gdzie przychodzi mu z pomocą żona.

Oto 35-letni lakiernik samochodowy. Jego córka już od dawna zauważyła, że ojciec nigdy nie zagląda do programu telewizyjnego i pewnego dnia zadaje mu pytanie, którego się zawsze obawiał: „Tata, czy ty nie umiesz... czytać?”

Tak się zaczyna artykuł w zachodniemieckim tygodniku

„Spiegeln”, w nr 31 z 2 sierpnia br.

Kiedy przed pięćdziesiąt laty jedna z zachodniemieckich społecznych organizacji oświatowych uruchomiła kurs alfabetyzacji z intencją przyjąć z pomocą świeżo upieczonym obywatelom RFN, którzy nie zdołali sobie przyswoić umiejętności czytania i pisanie w języku niemieckim, okazało się — ku zaskoczeniu organizatorów — że wśród chętnych sporą część stanowią rdzenni Niemcy. Podobne zjawisko odnotowały kolejne kursy, otwierane w Bremie, Ulm i kilku innych miastach w różnych stronach kraju. Pedagodzy i społecznicy, kompletnie zaskoczeni, zaalarmowali opinię publiczną oraz władze oświatowe republiki, których wysoki przedstawiciel uznał podane fakty za incydentalne, nie znajdujące racjonalnego uzasadnienia w systemie oświatowym państwa.

Rzeczywiście, sprawa mogła się wydawać początkowo mało znacząca, jeśli się zważy, że od 1920 r. tj. od wprowadzenia w ówczesnej Republice Weimarskiej powszechnego obowiązku szkolnego, problem analfabetyzmu uznano za nie istniejący, tym bardziej że dokładnie przed stu laty, kiedy jeszcze w prowincji pruskiej rejestrowano analfabetyzm przy akcie zawierania mał-

żeństwa, stwierdzano na 10 tysięcy par nowożeńców zaledwie ok. 350 analfabetów wśród mężczyzn i nieco ponad 500 wśród kobiet, co oznaczało nie więcej niż 4 do 5 procent wśród osób dorosłych (dla porównania zauważmy, że w przedwojennej Polsce, w pół wieku później, był ten procent kilkakrotnie wyższy).

Aż tu raptem taka niespodzianka, w państwie bogatym i cywilizowanym, słynącym od dawna z wysokiego poziomu ogólnego i zawodowego wykształcenia swoich obywateli! Zaczęto więc (siłami pedagogów, socjologów, psychologów) drążyć problem: Ilu też może być dzisiaj analfabetów wśród dorosłej ludności republiki...

Jak wynika ze „Spiegla” szacunki są dość rozbieżne, ale zależą głównie od przyjętych kryteriów analfabetyzmu, i tak — licząc ta waha się od 300 tysięcy do przeszło miliona. Pierwsza z nich obejmuje ludzi, dla których litery stanowią tajemniczą gmatwaninę niezrozumiałych znaków (a wśród nich tylko nieliczni wyczytali się własnoręcznym podpisem). Słowo — analfabeci w najdosłowniejszym znaczeniu. W szerszym pojęciu, czyli w granicach owego miliona mieszczą się ponadto i ci, którzy bądź to składają z liter pojedyncze wyrazy, a nawet zdania, gubiąc w trakcie tej czynności ich sens, bądź też dają sobie jakąś radę z czytaniem, ale nie umieją samodzielnie skreślić na papierze jakiegokolwiek informacji.

Jak do tego doszło, że tak stosunkowo dużo przemknęło się przez dość, zdawałoby się, gestą sieć systemu szkolnictwa? A ponadto, dlaczego ten ich mankament nie został wykryty w toku zawodowego życia? A wreszcie — z jakich środowisk ci ludzie się rekrutują? Zacznijmy od końca.

Przed wszystkim ustalono, że

znaczna część analfabetów wchodził się z rodzin wielodzietnych lub rozbitych, żyjących w niedostatku materialnym, co skłaniało do szybkiego przerywania edukacji i przedwczesnego rozpoczęcia pracy zarobkowej, nie wymagającej wykształcenia czy kwalifikacji. Jest to typowe zwłaszcza dla środowiska „chronicznych” bezrobotnych, w którym człowiek uwikłany jest w błędne koło przyczyn i skutków: trudne warunki uniemożliwiają zdobyć wykształcenia, a to znowu staje się przyczyną przynajmniej okresowej utraty pracy.

Zresztą jeszcze stosunkowo niedawno temu (jak konstatuje jeden z ekspertów) istniało w RFN wiele miast, gdzie wystarczały „silne bary”, toteż analfabeci wykonywali szereg czynności w sposób zadowalający i mieli poczucie społecznej przydatności, a tym samym ich mankament mógł pozostawać niezauważalny dla otoczenia. Nie było też dawniej tylu nauczycieli, psychologów i socjologów, dla których obecnie kampania zwalczania analfabetyzmu otwiera perspektywę zatrudnienia bezrobotnych spośród ich środowiska. Gdyby nie oni (można się domyślać) o sprawie analfabetyzmu nie byłoby tak głośno...

A co ze szkołą jako jednym z winowajców? Otóż twierdzi się, że system szkolny zawodził, ponieważ program nauczania podstawowego nakierowany jest na przeciwnie uzdolnionych, ci zaś mniej zdolni lub o spóźnionym rozwoju (którzy powinni rozpocząć naukę szkolną nieco później), po prostu nie nadążają, tracą kontakt z przerabianym materiałem i w konsekwencji tylko „wysiadują miejsce”. Nauczyciel przestaje się nimi zajmować, pozostawia ich w klasie na drugi rok, po którego upływie muszą być promowani, bez względu na to, czy umieją czytać, czy nie. Wreszcie przecho-

dzą do szkoły zawodu, gdzie wystarczy jeśli pażyskują sobie inne umiejętności albo też przedterminowo zwalnia się ich w ogóle z obowiązku chodzenia do szkoły, po czym idą do pracy i nawet jeżeli nauczyli się składać litery, to — z braku kontaktu z czytaniem i pisanem — popadają we wtórny analfabetyzm. Tak to wygląda w bardzo grubym zarysie.

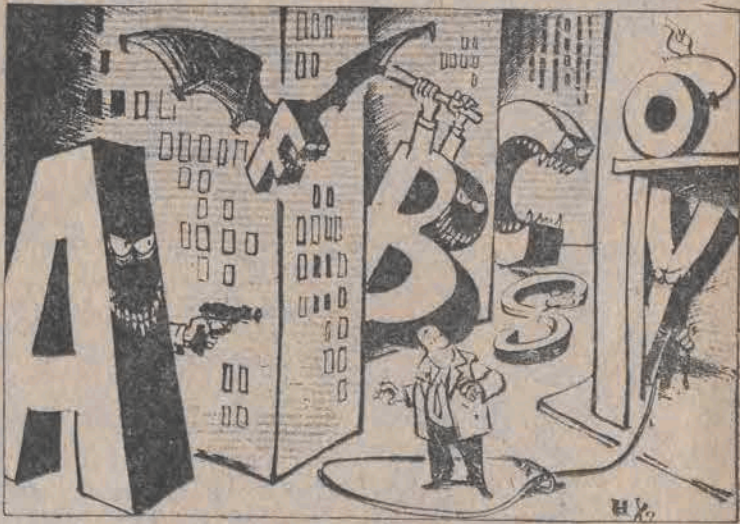
Walka o tzw. alfabetyzację tych ludzi, prowadzona z oddaniem przez grono pedagogów, ma aspekt humanitarny. Nie ulega przecie wątpliwości, że analfabeci, ukrywający się z tą wstydliwą nieumiejętnością przed środowiskiem pracy, przed przyjaciółmi i niekiedy nawet najbliższą rodziną, zmieniający często pracę w obawie przed zdemaskowaniem i kompromitacją, żyjąc w ciągłym lęku i mi-

styfikacji, podlegają frustracjom, nerwicom, a decyzja przyznania się do stanu faktycznego kosztuje ich zawsze ogromnie dużo pod względem ambicjonalnym. Zresztą niełatwo im znaleźć drogę do kursu dla analfabetów, ponieważ pisemne anonse są dla nich nieczytelne.

Jak dotychczas zresztą kursy dla analfabetów, korzystające z finansowego wsparcia ze środków budżetowych lokalnych władz oświatowych borykają się z trudnościami materialnymi i są w stanie objąć nauczaniem tylko czwartą część potrzebujących.

Jakoś nie mieści się to w stereotypie naszych wyobrażeń o warunkach życia społecznego w krajach „najwyżej rozwiniętych”.

Oprac.: J. K.



Zły sen analfabety...